POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień ***Dnia 5-go sierpnia 1944r.*** **Rok VI. Nr. 31**

BITWY O WILNO I LWÓW

Działania wojenne zbliżają się do granicy Rzeszy. Z jednej strony wojska anglo-saskie posuwają się w kierunku północnych Włoch, zagrażając najmniej przygotowanemu na atak południowemu skrzydłu, biegnącemu wzdłuż granicy austriackiej, z drugiej armia inwazyjna coraz poważniej rozszerza swój przyczółek francuski. Lotnictwo alianckie uderza w czułe punkty produkcji niemieckiej. Wojska rosyjskie po wyparciu najeźdźcy z granic swego kraju, weszły w pogoni za nim na ziemje obce, na teren Rumunii, Polski i państw bałtyckich. Przed potężną organizacją podziemnych ruchów europejskich stanęło pytanie: jak traktować żołnierzy Czerwonej Armii? Jak się do nich ustosunkować? Czy tak jak do oswobodzicieli, jak do członków wielkiej alianckiej wspólnoty celów wojny i celów pokoju, jako do tych, którzy niosąc wyzwolenie od Niemców, przyniosą wraz ze sobą zasady czterech wolności prezydenta Roosevelta, zasady samostanowienia narodów, zasady wolności człowieka, czy też raczej zaczekać, przyczaić się jeszcze na chwilę i, wspominając lata sowieckiej okupacji terenów polskich i innych, na początku obecnej wojny, przyjrzeć się w jakim stopniu istotnie nastąpiły zmiany nie tylko w metodach sowieckich, lecz także i w sposobie odnoszenia się do innych, słabszych, chwilowo zależnych narodów.

I oto w takiej chwili Polska Armia Podziemna daje wyraz swej woli współpracy z każdym kto walczy z Niemcami i, nie zważając na istniejące różnice, zapominając o przeszłości, walczy ramię w ramię z żołnierzem sowieckim na polskich ziemiach. Po szeregu operacji na mniejszą skalę, po atakach na węzły komunikacyjne, nastąpiła wielka bitwa pomiędzy Armią Krajową, a wycofującymi się oddziałami wojska niemieckiego.

Była to bitwa o Wilno. Miasto pełne polskich pamiątek, miasto — nie to, że nasze, ale tak stuprocentowo polskie, że nie ma chyba na całym świecie Polaka, któremu pamiątki wileńskie nie byłyby drogie. Miasto Mickiewicza i Filaretów, miasto Ostrej Bramy i Rossy. Miasto, o którego posiadanie toczyło się już wiele walk, za które przelało się już wiele polskiej krwi. Tym razem toczyła się o nie jeszcze jedna bitwa, bardziej może ze wszystkich innych znamienna, bitwa toczona przez żołnierzy wychowanych i wyćwiczonych w podziemiach.

Komendant okręgu wileńskiego Polskiej Armii Krajowej zgłosił się do dowódcy wojsk sowieckich operujących w rejonie miasta. Oferta widocznie została przyjęta, skoro raport z Kraju mówi w dalszym ciągu o tym, że 7 lipca 1944 r. oddziały Polskiej Armii Krajowej w sile — jak się później okazało — dwu dywizji, we współpracy operacyjnej z armią sowiecką, wykonały z własnej inicjatywy atak na miasto Wilno. Podczas oblężenia, jakie Wilno przechodziło, jeden polski batalion walczył wewnątrz samego miasta. Był zapewne otoczony, skazany na ogromne straty, być może, iż musiał polegać na własnych dostawach broni, żywności i amunicji. Tym niemniej walczył dopóty, dopóki Wilno nie zostało od Niemców wyswobodzone. Współpraca przeto dwóch armii — polskiej i sowieckiej — była podczas tych walk zupełna. Szkoda jednak, że nie dowiedzieli się o tej współpracy mieszkańcy Moskwy, na równi z mieszkańcami Londynu, Warszawy i Nowego Jorku. Szkoda, że po raz nie wiadomo już który, ręka wyciągnięta do współpracy wojennej, ręka uzbrojona i silna, podjęta została tylko na krótką chwilę.

Niezależnie od walk o samo miasto oddziały polskie, składające się z trzech batalionów piechoty i jednej baterii artylerii, współpracowały z wojskami sowieckimi na północ od Wilna w walkach o rzekę Wilię. Na południu od miasta walczył także jeden baon Armii Podziemnej, a dwa inne wykonywały zadania bojowe w rejonie Puszczy Rudnickiej.

Bitwa o Wilno została zakończona. Wojska sowieckie idą naprzód, dochodzą do wrót Warszawy, na południu zajęły drugie miasto, równie jak Wilno drogie każdemu Polakowi — Lwów. Przy zdobywaniu go już nie tylko oddziały Armii Krajowej torowały drogę czołgom Rosjan, oszczędzając im sprzętu i ludzi, lecz nawet kobiety i dzieci walczyły na ulicach. Znowu zginęło wielu tych, którzy zdołali przetrwać długie lata niemieckiej okupacji wierząc, że przyjdzie chwila wyzwolenia. A kiedy miasto upadło, gdy ostatni Niemiec z niego wyszedł, znowu tryumfalne salwy rozległy się w Moskwie. Lecz czy wiadomo jest światu, dzięki komu salwy te oddano?

Stanowisko nasze od pierwszej chwili tej wojny było i jest niezmiernie jasne — nie chcemy cudzego, lecz za wszelką cenę chcemy zatrzymać to, co jest nasze. W naszych rozmowach z Wielką Brytanią, w naszych rokowaniach z Francją już od roku 1933, podkreślaliśmy naszą gotowość obrony polskiego stanu posiadania. Jakkolwiek wiedzieliśmy doskonale, iż przewaga liczebna i techniczna leżała całkowicie po stronie przeciwnika, powzięliśmy decyzję walki i decyzja ta została całkowicie potwierdzona przez cały cywilizowany świat.

Okrojenie nas o t.zw. korytarz przez przeprowadzenie autostrady do Prus oraz przyłączenie Gdańska do Rzeszy uzależniłoby Polskę gospodarczo i politycznie od Niemiec. Wielka Brytania zaś i Francja byłyby narażone na wojnę z Niemcami dopiero po ich uderzeniu na Rosję. Ta ostatnia zaś zamiast walczyć w roku 1941, musiałaby zapewne zrobić odskok na Kaukaz znacznie wcześniej, aniżeli to się stało. Zabrakło by jej długich dwóch lat gwałtownego dozbrajania, gwałtownych i ostatecznych przygotowań do rozstrzygającej kampanii. Zabrakło by także może wielkich sojuszników na zachodzie.

Nie czas jednak dzisiaj na wspominanie przeszłości. Nie czas jeszcze dzisiaj na wzajemne podsumowywanie kont wkładów do wojny. W tej chwili toczy się bitwa o Polskę. Zbrojone i ćwiczone oddziały Armii Krajowej wychodzą z ukrycia. Tragedią ich jest to, że nie wiedzą jaka je czeka przyszłość. Na frontach europejskich Polacy walczą we Włoszech, może jutro walczyć będą w Normandii. Lotnictwo i marynarka nasza biorą stały udział w operacjach inwazyjnych. Bitwa o Wilno, toczona parę tygodni temu, przeszła już prawie do historii.

Ale nie o to chodzi! Nie chcemy dzisiaj w obliczu terroru niemieckiego w Kraju i czynów bojowych polskiego żołnierza, licytować się swymi poczynaniami, nie chcemy odkrywać przed światem swych ran i wołać o litość, współczucie czy uznanie. Nie o to chodzi. Sprawa Polski w skali zagadnień światowych jest tylko małym kółkiem, którego naoliwienie usprawni wprawdzie maszynę, lecz którego zaniedbanie chwilowo przynajmniej nie będzie fatalne dla całości.

Chodzi o coś znacznie większego, o coś bardziej głębokiego, o coś, co tkwić musi u podstaw celów wojny zjednoczonych narodów. Chodzi o to, żeby nie poszła w niepamięć bitwa o Wilno i bitwa o Lwów. Chodzi o to, by nie poszły na marne poświęcenia nie tylko pojedyńczych ludzi, lecz także całych społeczeństw i narodów. Chodzi o to, by ludzkość, która jest przecież tragicznie zmęczona toczącą się walką, mogła patrzeć w przyszłość z zaufaniem, by mogła plany swe na przyszłe lata opierać na podstawie pewnego, zabezpieczonego pokoju.

Nie jest frazesem powiedzenie, że niepodległość i całość Państwa Polskiego jest próbą celów wojny narodów sprzymierzonych. Nie jest to puste słowo, ponieważ jakiekolwiek by były fazy tej wojny, jakiekolwiek by ona przechodziła przeobrażenia, jakkolwiek by zmieniała swe cele natychmiastowe i swe plany strategiczne, to nie może zmienić jedynego zasadniczego punktu — celu ideologicznego. Okupacja Austrii i Czechosłowacji, napad na Polskę, masowe morderstwa Żydów — to tylko pojedyńcze ogniwa stale ciągnących się zbrodni niemieckich, którym przeciwstawiły się kraje demokratyczne. Niemcy, idąc za swym instynktem nakazującym im dążenie do panowania nad światem ogłosili inne narody i rasy za niższe, niezdolne do rządzenia samymi sobą, nie zasługujące na traktowanie na równi z "narodem panów" i narodem zwycięskich armii.

Stojąc na stanowisku poszanowania praw jednostki i poszanowania praw poszczególnych społeczeństw do samostanowienia o swym losie, państwa anglosaskie, przy współudziale Francji, stanęły w poprzek zamiarom sięgającym aż do podboju świata. Celem tej wojny była i w dalszym ciągu jest walka o wolność człowieka. Społeczeństwa anglosaskie w głębokim przywiązaniu do ideałów demokratycznych dzisiaj już dyskutują na temat tych wolności, jakie winny przecież panować nawet w pokonanych Niemczech.

Cele wojny są więc tak samo jasne i tak samo proste, jak było nasze polskie stanowisko od pierwszych dni zawieruchy wojennej. Jeżeli zaś dzisiaj trzeba o tym pisać, jeżeli w końcowej fazie wojny trzeba o tym naszym sprzymierzeńcom przypominać, to jest to dowód, że instytucja wojny i jej celów okazała się instrumentem równie niedoskonałym, jak każde ludzkie poczynanie. Wszczęta w imię obrony słabych przed silnymi, w imię ustalenia sprawiedliwości, w imię najbardziej szczytnych haseł, zboczyła nieco z drogi. Nie jest jeszcze jednak za późno, by mogła na nią powrócić.

Zgodnie z artykułem 87 Traktatu Wersalskiego Rada Ambasadorów zdecydowała 15 marca 1923 roku, że Wilno i cała ziemia wileńska jest częścią składową Rzeczypospolitej Polskiej. Ta sama Rada Ambasadorów uznała oficjalnie polskie granice wschodnie wraz ze Lwowem, ustalone na zasadach traktatu ryskiego. Od tego momentu aż do 17 września 1939 Rosja Sowiecka stan ten uznawała jako legalny i jedynie sprawiedliwy.

Słuszność tego rozwiązania potwierdziły dobitnie kobiety i dzieci polskie walczące na ulicach Lwowa i oddziały Armii Krajowej, tocząc i wygrywając bitwę o Wilno w lipcu roku 1944. Pierwszy raz żołnierz polski walczył o te miasta, wokół tych miast wespół z żołnierzem rosyjskim. Obaj walczyli, krwawili, umierali w walce ze wspólnym wrogiem. Ich walka wspólna, wbrew wszystkiemu, wbrew wszystkim nieporozumieniom, wszystkim trudnościom i krzywdom otworzyła nowe widoki, nowe możliwości porozumienia, współżycia, współdziałania obu narodów. Było by nieszczęściem, gdyby te możliwości przeoczono, zlekceważono, zmarnowano. Na całej wschodniej połaci Rzplitej powstaniec polski bije się z Niemcami obok Rosjanina. Może to być punkt zwrotny w dziejach obu narodów. Może być również źródło nieopisanej goryczy, zatruwającej ich stosunek wzajemny na dalsze wieki. Było by to nieszczęściem dla Polski, ale także i dla Rosji.

ZYGMUNT NAGÓRSKI, jr.

MARIAN WALENTYNOWICZ: W ogniu

Szkic sytuacyjny

NOWA BITWA WARSZAWSKA

W chwili pisania tych uwag artyleria sowiecka ostrzeliwuje Pragę a wojska rosyjskie oczyściły z Niemców wschodni brzeg Wisły od Dęblina aż po ujście Sanu do Wisły. Postępy sowieckie na wszystkich odcinkach są bardzo gwałtowne. Wojskowy komentator radia niemieckiego van Hammer wspomniał w swojej pogadance z dnia 29-go lipca wieczorem, że Rosjanie zgromadzili poważne siły na wschodnim brzegu Wisły celem sforsowania rzeki. Wydaje się, że w kilku miejscach Rosjanie dokonali już przejścia Wisły, albowiem Niemcy wspominali o bombardowaniu promów sowieckich na Wiśle.

Tempo marszu sowieckiego jest takie, że zajęcie Warszawy może być dziełem najbliższych dni. Przypuszczano, że w połowie sierpnia stolica Polski zajęta będzie przez wojska sowieckie. Wydaje się, że przypuszczenia te były zbyt ostrożne.

Sukcesy sowieckie są olbrzymie. Na północy pierwsza armia bałtycka generała Bagramiana dotarła dnia 29-ego lipca do Mitawy. Odcięła ona w ten sposób dwie armie niemieckie znajdujące się w potrzasku łotewsko-estońskim. Zajęcie Rygi jest sprawą dni. Korytarz na Litwie dotychczas jeszcze wolny dla odpływu wojsk niemieckich ku Prusom Wschodnim staje się coraz to węższy. Być może, że i armia niemiecka na Litwie zostanie schwycona w sak. Najwidoczniej plan sowiecki zdąża do krajania sił niemieckich, szatkowania frontu. Podobnych manewrów odcinania, kawałkowania frontu dokonywała na wstępie kampanii 1941-ego roku w Rosji armia niemiecka.

Armie sowieckie podchodzą do Tylży, ale nie wiemy, czy przekroczą granicę Prus Wschodnich, czy raczej — jak przypuszczają liczni komentatorzy wojskowi prasy anglosaskiej — posuwać się będą wzdłuż granicy wschodniopruskiej, ażeby dokonać odcięcia sił niemieckich na Litwie. Na południu armie sowieckie mogą znaleźć się do połowy sierpnia pod Krakowem. Są one dzisiaj za Przemyślem i Jarosławiem. Na skrajnym południu front trzyma się jeszcze pod Stryjem i Stanisławowem, albowiem usunięcie się tego frontu byłoby niezwykle groźne dla Niemców.

Wojska niemieckie trzymają się przełęczy wschodnich Karpat, przekonane — i słusznie — że przejście Rosjan przez te przełęcze na Ruś Przykarpacką stwarza sytuację groźną dla sił na Węgrzech i może stanowić wstęp do obejścia frontu w Rumunii. Sforsowanie tego szlaku otwiera dla Rzeszy możliwości iście katastrofalne. Cały plan bałkański leżałby wtedy w gruzach. Jak długo wojska niemieckie — posiłkowane przypuszczalnie przez Węgrów — utrzymają przełęcze karpackie, wolne teraz od przeszkód wiosennych, trudno osądzić. Faktem jest, że napór na ten odcinek jest duży, że pogotowie sowieckie pod Karpatami jest znaczne i że Rzesza wie, czym pachnie cofanie się na tym odcinku.

Komentarze niemieckie na temat wypadków na froncie wschodnim są dalej nastrojone na ton ponury. Nie wskazuje się, czy istnieje w ogóle nadzieja zatrzymania pochodu sowieckiego. Nie wspomina się nic o możliwościach przeciw-uderzenia. Jeżeli sądzono, że sztab niemiecki nosi się z planem jakiegoś powtórzenia manewru bitwy warszawskiej z r. 1920-go, czy bitwy na jeziorach mazurskich r. 1914-go, to pierwsza nadzieja wydaje się niemal przekreślona. Jeżeli *Oberkommando der Wehrmacht* — osłabione dzisiaj przez czystki w swojej zdolności myślenia i planowania — ma jakieś plany, to chyba mogą one polegać na wpuszczeniu wojsk sowieckich daleko pod Toruń i Częstochowę, a trzymanie skrzydła Prus Wschodnich oraz skrzydła karpackiego. Dawało by to jeszcze jakieś szanse podjęcia przeciwuderzenia.

Ale czy armia niemiecka jest jeszcze do niego zdolna? Czy stałe cofanie i wykrwawianie się nie pozbawiło jej ducha ataku? Czy są odpowiednie rezerwy na zapleczu obecnego frontu, gdzieś w Poznańskim i na Pomorzu? Czy istnieje przede wszystkim odpowiednia siła pancerna? Doniesienia neutralne mówiły, że ostatnio Niemcy przerzucili dwie dywizje pancerne z Holandii na front wschodni. Być może, że strategia niemiecka doszła do wniosku, że osłabienie frontu na zachodzie jest koniecznością i że inaczej nie załata się braków na wschodzie.

Na razie jednak nie widać żadnych oznak większego przesuwania sił pancernych z zachodu na wschód. Na froncie zachodnim Niemcy stawiają silny opór. Odcinek amerykański w Normandii jest żywszy, Amerykanie przedarli się na niewielkich odcinkach, odcinek brytyjski raczej wykazuje cofanie się. Pisma tygodniowe /jak n.p. *"Time and Tide"* z dnia 29-go lipca/ wyrażają rozgoryczenie z powodu zatajania porażek brytyjskich na froncie w Normandii.

POLITYCZNE SPRAWY NA WSCHODZIE EUROPY

Podsunięcie się Rosjan pod bramy Warszawy, powołanie do życia "Komitetu Wyzwolenia Narodowego", zawarcie umowy między tym Komitetem a rządem sowieckim, przedstawienie planu polityki zagranicznej i wewnętrznej tego Komitetu — wszystko to sprawiło, że sprawa przyszłości Polski raz jeszcze stała się bardzo aktualna. Prasa brytyjska omawia te sprawy w sposób na ogół daleki od rzeczowości; tylko kilka pism, jak n.p. *"Daily Mail"* w swoich uwagach redakcyjnych, niekiedy nawet *"News Chronicle"*, zdobywają się na ton, który przystoi powadze sytuacji. Na ogół jednak artykuły pism roją się od fałszerstw historycznych, od przekręcań faktów, od popisów ignorancji, od wyraźnej złej woli. Raz jeszcze jesteśmy świadkami wysoce dla nas przykrego widowiska, albowiem przekonujemy się, że prasa brytyjska, która znana była przed wojną z rzeczowości i chęci przedstawiania sprawy bezstronnie, została zarażona bakcylami, które — gdybym szedł za modą — nazwać by można "faszystowskimi". Tego rodzaju popisy były udziałem prasy niemieckiej w okresie kryzysu sudeckiego. Stanowi to tylko dowód, że obyczaje totalne — czy jeśli ktoś woli "faszystowskie" — stały się udziałem części prasy brytyjskiej. Jest to przykre widowisko.

Premier polski p. Mikołajczyk udał się do Moskwy; nie wdajemy się tutaj w rozważania, jaki plon może przynieść jego wizyta. Chwila dla Polski jest niezwykle poważna. W piątą niemal rocznicę wojny stoimy w obliczu faktów i decyzyj, które mogą zaważyć na życiu Polski na wiele lat. Polska oparła się w roku 1939-ym próbom przesunięcia jej na wschód i poddania jej pod wpływy Niemiec. Inne państwa nie oparły się — Rumunia, Węgry, Słowacja poszły na rozwiązanie niemieckie. Dania skapitulowała, Francja dała Pétaina a potem Lavala. Holandia ma swoich "kolaboracjonistów"; podobnie jest w Norwegii. Jedna tylko Polska nie poszła na re-asekurację, jedna Polska nie poszła na takie czy inne rozwiązanie Hachy. Była ona przekonana, że zrobiła dobrze, była wierna i jest wierna sojuszom zachodnim. Czy obecna chwila miałaby przynieść przekreślenie tego stanowiska? Czy położenie międzynarodowe i brak skutecznego systemu bezpieczeństwa dla wszystkich w Europie a nie tylko dla Zachodu — ma przekonać Polaków, że państwo o ich położeniu musi być w stosunku lennej zależności od wielkich? Jeżeli taki miałby być morał tej wojny wielkich obszarów, byłby to tragiczny morał.

Program polityczny ogłoszony przez "Komitet Wyzwolenia" powiada o sojuszu z Francją, ale nie mówi nic o sojuszu z Anglią. Powiada on o granicach na Odrze — pod Szczecinem oraz Wrocławiem. Dało to okazję prasie brytyjskiej atakowania tego programu jako "imperialistycznego". Te właśnie hasła graniczne uczyniły Komitet raczej niepopularnym w Anglii.

"Observer" z dnia 30-go lipca przynosi doniesienie na temat domniemanego planu polskiego premiera w Moskwie. Ma on się zgodzić całkowicie na przyjęcie "linii Curzona" jako linii demarkacyjnej, przy czym po wojnie nastąpiło by ostateczne wytyczenie granic. P. Mikołajczyk oświadczyć ma również — wywodzi "Observer" — gotowość dokonania zmian gabinetu. Niewiadomo jakie elementy miałyby zostać włączone do nowego rządu, który powstałby w Warszawie, ale — zdaniem *"Observera"* — współpraca czynników komunistycznych wydaje się możliwa. Przeprowadzenie reformy rolnej na skalę radykalną, proklamowane przez Komitet Wyzwolenia, będzie hasłem p. Mikołajczyka.

Najbliższe dni wykażą o ile przewidywania *"Observera"* są słuszne. Na ogół jednak pismo to przynosiło trafne oceny sytuacji sowiecko-polskiej. *"Observer"* pisze, że zarówno rząd brytyjski, jak amerykański popierają dalej rząd polski w Londynie i uznają go jako prawny rząd Polski, ale są zdania, że należy dążyć do kompromisu z Rosją i z wysuwanym przez nią Komitetem. Jest to zatem konsekwentna polityka przyjęta w Grecji czy Jugosławii, gdzie próbowano uzyskać porozumienie przez połączenie elementów prawnych rządów z nowymi tworami czy komitetami. Próba jugosłowiańska udała się, chociaż nie mamy jeszcze wyraźnych dowodów współpracy, próba grecka wciąż jeszcze *kuleje*. Trzeba jednak zrozumieć, że w obu wypadkach arbitrem była *Anglia*. W wypadku polskim arbitrem będzie *Rosja*, przy pewnym poparciu U.S.A. i W. Brytanii. Grecja i Jugosławia należą do strefy brytyjskiej, inne państwa najwidoczniej *nie wchodzą* do tej strefy. Komitet Wyzwolenia położył nawet kropkę nad "i" i nie wspomniał o sojuszu polsko-brytyjskim.

Jesteśmy świadkami historycznego procesu. Możnaby nazwać go mianem sporu o Europę, jej granice, jej zasięg. Europa, przetrzebiona wojną, rozbita buntem Rzeszy przeciwko kulturze europejskiej, bez oparcia o jasną politykę wielkich mocarstw — jest w wielkim niebezpieczeństwie. Polska chce pozostać w Europie. Czy będzie mogła?

Londyn, dnia 30-go lipca 1944 roku.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

24 *lipca: Wojska sowieckie zajęły Lublin, Jaworów i Halicz. San został przekroczony. Na ulicach Lwowa toczą się walki, w których biorą udział oddziały Armii Krajowej.*

—Dowódca 27 dywizji Armii Krajowej przesłał komendantowi Armii Krajowej meldunek o zajęciu Lubartowa i Kocka.

—Wojsko polskie we Włoszech odparło przeciwnatarcia niemieckie na wschód od m. Ostra.

—W nocy z 23/24 lotnictwo brytyjskie bombardowało b. silnie Kilonię. W nalocie brał udział polski dywizjon bombowy ciężki. Jedna załoga polska nie powróciła.

—W nocy z 23/24 i za dnia polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował morza. Wszystkie załogi powróciły. Dywizjon bombowy lekki za dnia wykonał dalekosiężny patrol. Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawy bombowe, przeprowadzały wymiatanie i zwalczały bomby latające. Zestrzelono kilkanaście bomb latających.

—Ogłoszony został komunikat PAT w związku z utworzeniem w dniu 21 bm. w Chełmie Komitetu Wyzwolenia Narodowego. W komunikacie tym m.i. czytamy: "Naród Polski, który przez lat 5 bohatersko walczył i krwawił się na wezwanie swego prawowitego Rządu, do którego ma całkowite zaufanie i który w podziemiach wytworzył pełną organizację władz państwowych, nigdy nie podda się narzuconej mu obcej woli".

25 *lipca: W nocy z 24/25 lotnictwo brytyjskie ciężko bombardowało Stuttgart. W nalocie tym brał udział dywizjon polski. Wszystkie załogi polskie powróciły.*

—W nocy z 24/25 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował morza. Zaatakowano nieprzyjacielski okręt podwodny. Tej samej nocy polski dywizjon bombowy lekki bombardował drogi i węzły komunikacyjne, a dywizjon myśliwski nocny wykonał zadania intruderskie. Wszystkie samoloty polskie wróciły.

—Za dnia polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawy bombowe i wykonywały wymiatanie. Wszyscy piloci powrócili.

—Sprzymierzeni przeprowadzili nowy atak na linie niemieckie w Normandii, na płd. od Caen i na płn.-zach od St. Lô.

—Wojska sowieckie zajęły Łuków i Biłgoraj. W walkach nad Sanem brało udział lotnictwo amerykańskie, działające z baz rosyjskich.

—Król Jerzy VI w czasie wizytacji we Włoszech odebrał w Neapolu defiladę marynarzy Narodów Sprzymierzonych m.in. polskich.

26 *lipca: Ujawniono, że komendant główny Armii Krajowej nosi nazwisko: generał Bór.*

—Amerykanie przełamali linie niemieckie i zajęli Marigny oraz St. Gilles na zach. od St. Lô.

—Wojska sowieckie zajęły Puławy, Dęblin, Bursztyn, Tyśmienicę, Nadwórnę, Delatyn oraz Narwę.

—W nocy z 25/26 lotnictwo sowieckie bombardowało Tylżę i Warszawę.

—W nocy z 25/26 lotnictwo brytyjskie bombardowało b. silnie Stuttgart. W nalocie tym brał udział polski dywizjon bombowy ciężki. Jedna załoga polska nie powróciła.

—W nocy z 25/26 polski dywizjon bombowy lekki bombardował komunikacje, a dywizjon myśliwski nocny wykonał zadania intruderskie nad terenem nieprzyjaciela. Wszystkie samoloty polskie wróciły.

—Za dnia polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawy bombowe, przeprowadzały wymiatanie i zwalczały bomby latające. Zestrzelono kilkanaście bomb latających. Wszyscy piloci powrócili.

27 *lipca: Wojska sowieckie zajęły Szawle, Dźwińsk, Białystok, Lwów i Stanisławów.*

—Po zajęciu m. Ostra wojsko polskie sforsowało rzekę Misa. Walki toczą się w pobliżu Senigallia.

—Król Jerzy VI odwiedził oddziały II Korpusu Polskiego we Włoszech. Króla powitali: Naczelny Wódz gen. broni K. Sosnkowski i dowódca Korpusu gen. W. Anders.

—W nocy z 26/27 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował morza. Wszystkie załogi powróciły.

—Ujawniono, że na terenie Polski urzęduje obok wicepremiera Rządu R.P. trzech ministrów, których pseudonimy są: Walkowicz, Traugutt i Opolski.

28 *lipca: Prasa londyńska podała, że premier Mikołajczyk w towarzystwie min. Romera i prezesa Grabskiego udał się do Moskwy.*

—Wojska sowieckie zajęły Przemyśl, Brześć nad Bugiem, Jarosław i Kowno.

—W nocy z 27/28 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował morza. Wszystkie załogi powróciły.

—Żołnierze II Korpusu Polskiego wraz z Naczelnym Wodzem przyjęci byli przez papieża Piusa XII na specjalnej audiencji w Watykanie.

—Wojska II Korpusu zajęły m. Senigallia.

Wojna na morzu

WYŚCIG NAUKI

Niemcy głośno zapowiadają użycie coraz to nowych wynalazków, obliczonych na zniszczenie przeciwnika. Dowodzą przy tym, że eksperci wojskowi świata zdumieją się na widok tych "dzieł ducha germańskiego", a w dziedzinie prowadzenia wojny nastąpi zupełna rewolucja. Oczywiście — po stronie Sprzymierzonych technika wojenna nie próżnuje również.

Gdyby bomby latające zostały uruchomione dwa lata temu, mogły by wywołać pewne skutki. Tak samo bomby rakietowe czy szybowcowe. I tak samo nowe, "pseudo-żywe" torpedy, rzucone obecnie przez Niemców przeciwko okrętom sprzymierzonym w Kanale La Manche. Wyrządziły one już pewne straty, ale na całość akcji wpłynąć nie mogły /O.R.P. "Ślązak" wyłowił z morza 17-letniego "kierowcę" takiej właśnie torpedy/.

Nowe "żywe torpedy" — są to przyrządy składające się z właściwej torpedy i umieszczonego ponad nią lekkiego kadłuba z mechanizmem napędowym. W kadłubie siedzi człowiek, ubrany w strój nurka i kierujący przyrządem. W odpowiedniej chwili zwalnia on torpedę, odstrzeliwując ją w kierunku celu, a sam wycofuje się.

Poza tym prasa neutralna wspomina o nowych bombach lotniczych przeciw okrętom, oraz o ścigaczach, mogących zanurzać się na niewielkie głębokości. Wszystko to oczywiście nie jest przyjemne ani pożądane i pociąga za sobą straty. Ale panowania na morzu Niemcy tą drogą nie osiągną. A bez panowania na morzu — nie ma zwycięstwa.

GUAM

Jak przewidywaliśmy w poprzedniej "Wojnie na morzu", Amerykanie wylądowali na Guam, małej wysepce Oceanu Spokojnego, niezmiernie ważnej pod względem strategicznym. Jest to pierwsze rdzennie amerykańskie terytorium, odzyskane od chwili rozpoczęcia wojny. Japończycy zdobyli je w r. 1941.

Niedarmo nastąpiły zmiany w rządzie, dowództwie naczelnym i w admiralicji japońskiej. Sytuacja bowiem, w jaką nieoględna polityka wpędziła ten naród, wydaje się bardzo poważna. Japończyków w ciągu ostatniego stulecia nikt pobić nie zdołał. A oto dziś, gdy są pozornie potężniejsi niż kiedykolwiek, eskadry morsko-powietrzne Wuja Sama dają im radę coraz lepiej. Straty Japończyków w tonażu handlowym są już tak wielkie, że hamują działalność ich okrętów wojennych. No i oczywiście sprawiają, że wojsko wysadzone na wyspach Pacyfiku czy na kontynencie azjatyckim /Burma/ jest, praktycznie biorąc, odcięte od dowozu.

Zmiany w rządzie, czy zmiany w dowództwie nie pomogą do naprawienia tej sytuacji. Naprawić by ją mogła tylko wielka wygrana bitwa na . . . morzu. Admirał Shimada odszedł. Zobaczymy, czy odważy się na nią admirał Nomura.

BRYTYJSKIE ŁAMACZE BLOKADY

Tym razem chodzi o kilka małych statków motorowych, forsujących niemiecką blokadę między Bałtykiem /brzegi Szwecji/ a W. Brytanią. Przewożą łożyska kulkowe, instrumenty precyzyjne i różne inne "tajemnicze" przedmioty, zbyt ciężkie dla samolotów, a jednak bardzo potrzebne.

Zadanie nie jest łatwe. Od Malmö do W. Brytanii droga wiedzie przez Sund, Kattegat i Skagerrak, leżące w obrębie wewnętrznych wód niemieckich, pilnie strzeżonych. Ale i na otwartym Morzu Północnym łamacze blokady nie są bynajmniej bezpieczne. Grożą im zarówno okręty strażnicze, jak i samoloty nieprzyjaciela.

Statki brytyjskie, zbudowane specjalnie w tym celu, mają dużą szybkość, a wielkością przypominają kutry dalekomorskie. Załoga wynosi 20 ludzi. Uzbrojenie — przeciwlotniczy *Oerlikon*. Jak długo trwała ich działalność i ile czego przewiozły — pozostaje oczywiście tajemnicą.

Jeden z tych statków wpadł już w ręce niemieckie. Ale pozostałe rozwinęły nader skuteczną działalność. Okazuje się, że nawet w wieku radiolokacji i samolotów, żegluga się opłaca . . .

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

Około wyspy Groix na Atlantyku miała miejsce potyczka, w której O.R.P. "Błyskawica", wraz z dwoma kontrtorpedowcami brytyjskimi, zniszczył konwój niemiecki, złożony z dwóch transportowców i eskortującego traulera.

Większość okrętów polskich zaangażowana była dalej w operacjach inwazyjnych, przy czym O.R.P. "Piorun" otrzymał od Szefa Kier. Mar. Woj. i od Admiralicji Brytyjskiej pochwały za skuteczną akcję /wraz z H.M.S. "Ashanti"/ przeciwko pławiaczom min w nocy z 12 na 14 czerwca /6 okrętów npla zniszczonych/.

O niezwykle śmiałych operacjach O.R.P. "Krakowiak" na Dodekanezie pisaliśmy /w granicach dopuszczalnych przez cenzurę/ w "Polsce Walczącej" z dn. 13 maja r.b. Dziś dodać możemy, że "Krakowiak" zaangażowany był na Morzu Egejskim w czasie nieudanych operacji brytyjskich na wyspach Dodekanezu, które to operacje wywołały swego czasu burzę w parlamencie londyńskim. W gruncie rzeczy zawiodła spodziewana pomoc włoska, i z tego powodu zawiodło z kolei lotnictwo sprzymierzone. Okręty musiały działać prawie bez eskorty powietrznej, natomiast miały przeciwko sobie duże siły "Luftwaffe", bazowanej na okolicznych wyspach. W tym położeniu zadanie marynarki było nadzwyczaj trudne. Jak zazwyczaj, spełniła ona więcej niż swój obowiązek, a kontrtorpedowce, również jak zazwyczaj, grały rolę "służących do wszystkiego".

"Krakowiak" zaangażowany był w tych operacjach w listopadzie roku ubiegłego w ciągu około trzech tygodni. Wraz z dwoma okrętami brytyjskimi bombardował porty nieprzyjacielskie na wyspach Levitha, Kalymnos i Kos. Po bombardowaniu Kalymnos zespół był w ciągu pięciu godzin 14 razy atakowany przez lotnictwo niemieckie, zarówno bombami szybowcowymi, jak zwykłymi. Jeden z okrętów brytyjskich został trafiony bombą szybowcową, jednak stosunkowo nieszkodliwie. Jak już pisaliśmy, drugi okręt brytyjski wziął go na hol, podczas gdy "Krakowiak" osłaniał zespół od dalszych nalotów.

W tymże okresie "Krakowiak" przewoził wojsko, był na Samos, uczestniczył w akcji ratowniczej uszkodzonego krążownika brytyjskiego, który również szczęśliwie dotarł do portu. Poza tym "Krakowiak" przeprowadził wiele eskort i konwojów, był w słynnej walce listopadowej między konwojem śródziemnomorskim i lotnictwem nieprzyjaciela /o czym również już pisaliśmy/, uratował dwu lotników. Jeden z wyższych dowódców brytyjskich, któremu "Krakowiak" taktycznie podlegał, wyraził się: "To jest okręt, który najchętniej idzie tam, gdzie niebezpiecznie".

Szef Sztabu Marynarki Brytyjskiej na Morzu Śródziemnym, w przemówieniu do załóg "Ślązaka" i "Krakowiaka", wyraził się między innymi:

"The efficiency of the Polish Navy is every bit as good as that of the British Navy. I cannot pay you any higher compliment".

/Skuteczność działania marynarki polskiej jest równa marynarce brytyjskiej. Nie mogę wyrazić wam lepszej pochwały/.

Niedawno znany autor bytyjski M. Divine, pisząc o uznaniu marynarki brytyjskiej dla polskiej, stwierdził, że "Royal Navy" nie udziela pochwał ani darmo, ani łatwo. To też słowa admirała brytyjskiego nie są aktem kurtuazji, ale jeszcze jednym potwierdzeniem słów Naczelnego Wodza, że "Ślązak" i "Krakowiak" dobrze zasłużyły się Ojczyźnie.

THANK YOU, POLAND!

W czasie operacji związanych z bezpośrednim wsparciem wojsk brytyjskich pod Caen, O.R.P. "Dragon" . . . "uciszył" szereg baterii nieprzyjacielskich, rozbił koncentrację czołgów /4 czołgi na pewno zniszczone, kilka uszkodzonych/, oraz unicestwił swym ogniem kontratak niemiecki. Od formacji wspieranych przez O.R.P. "Dragon" nadszedł wówczas z lądu następujący sygnał:

"Shooting very effective. They are much quieter now. THANK YOU, POLAND". /Strzały bardzo skuteczne. Oni /Niemcy/ są teraz spokojniejsi. DZIĘKI, POLSKO!/

JULIAN GINSBERT

Z walczącej Warszawy

Do ostatniego naboju

W tym czasie terror niemiecki w Warszawie doszedł do szczytu. Publiczne egzekucje, masowe łapanki, ogłaszanie przez megafony list zakładników przeznaczonych na śmierć: groza wołała ulicami miasta.

Tłumy policji i żandarmerii z całego dystryktu uganiały całymi dniami z bronią gotową do strzału, z wrzaskiem, ze strzelaniną na oślep. Lotne patrole motocyklowe kręciły się, jak oszalałe. Żołnierze-ochotnicy i wyrostki z *"Hitlerjugend"* pomagali gorliwie.

W ten odmęt strachu i wściekłości trafiła 24 października 1943 grupa paru żołnierzy, wracająca z akcji odwetowej. Na Pradze, u zbiegu ul. Targowej i Ząbkowskiej, znaleźli się w rojowisku zielonych mundurów. Wycofanie się było trudne. Niemożliwe. Z piorunującą szybkością nadleciały dwa motocykle z żandarmerią. Lufy wycelowane. Wrzask: *"Hände hoch"* ...

Dowódca grupy bez namysłu wysunął się naprzód. Stanęli przy nim dwaj koledzy posiadający jeszcze broń przy sobie. Bez rozkazu, zjawiła się żołnierska decyzja: umożliwić odwrót bezbronnym już towarzyszom.

Jeden z żandarmów z pistoletem maszynowym zeskoczył z motocykla na chodnik. Z nagła błysnęła broń w ręku dowódcy. Trzasnął strzał. Niemiec stoczył się na bruk.

Osaczeni skoczyli we wnękę bramy. Drugi strzał dowódcy zwalił dowódcę patrolu żandarmskiego. Padł jeszcze jeden żandarm, trafiony w brzuch. Jego ostatnia seria z pistoletu maszynowego poszła w bruk. Tylko parę kul zdziurawiło ubranie strzelającego żołnierza. Reszta żandarmów rozbiegła się w mgnieniu oka, bijąc gęsto z pistoletów.

Ale już przybywali nowi.

Trzej żołnierze byli już sami. Uratowani towarzysze rozbiegli się w zamieszaniu strzelaniny. Trzeba było myśleć o sobie. Ale z trzech pistoletów jeden był już nie do użytku. Zacięty.

Więc jeszcze kilka strzałów dla osłonięcia wycofującego się z walki kolegi. A potem ...

Dowódca z ostatnim towarzyszem wypadają z bramy na środek jezdni. Świeże założone magazynki plują kulami w nadbiegających żandarmów. Zmuszają ich do ucieczki. Bojowcy rzucają się w pościg. Biegnąc na karkach Niemców, gnają ulicą Targową. Z chodnika na jezdnię. Przejeżdża właśnie tramwaj w stronę Jagiellońskiej. Skok na stopnie.

Ze stopni, z okien sypią strzałami do żandarmów. Pasażerowie leżą na podłodze, bo po ścianach wagonu stukają już kule pościgu. To dwa auta żandarmerii gonią za tramwajem. Bojowcy podejmują walkę. Dowódca z uśmiechem przebiega od okna do okna, wybierając sobie żandarmów na cel. Jego towarzysz, powoli celując z oparcia, bije celnie, zmiata jednego Niemca po drugim.

Auto jest szybsze od tramwaju. Gdy go dopada — z tramwaju wylatuje granat. Pada na budę. Wybucha z gromowym hukiem. Rozbite auto zatrzymuje się jak wkopane. Za to drugie już wyprzedziło tramwaj. Zgrzyt hamulców.

Żołnierze wyskakują na jezdnię. Pędzą w stronę mostu. Gwizd kul wokoło, trzask rykoszetów. Strzelają do nich żandarmi z drugiej "budy", strzelają kolejarze z okien dyrekcji, strzelają ze wszystkich stron.

I znów zielone mundury ... Dwa plutony żandarmerii nadchodzą kolumną, rozsypują się już z daleka, zaczynają gęsty ogień.

Dowódca wystrzelał już całą amunicję. Siedem magazynów po szesnaście kul. Ma już tylko trzy strzały w lufie. I wtem dosięga go seria pistoletu maszynowego, rażąc w plecy.

Do padającego podbiega towarzysz, wierny do ostatka.

—Dobij mnie — woła zamierającym głosem dowódca.

Ostatni rozkaz. Niewykonany. Pistolet kolegi jest już bez naboju.

I wtedy dowódca raz jeszcze podejmuje walkę. Dźwiga się na łokciu. Dwa strzały do nadbiegających żandarmów. Raz jeszcze błysnęła lufa. Skierowana w skroń. I pada ostatni, najostatniejszy strzał.

Pobliskie zarośla i parkany skrywają tego, który cudem jakimś ocalał. Żandarmi nie chcą się narażać. Martwego już się nie boją. Otaczają zwłoki i ... — Bestie.

Salwami z pistoletów miażdżą zuchwałą, bohaterską głowę.

Po niemiecku.

ŻOŁNIERZ ARMII KRAJOWEJ

Koniec "kata Warszawy"

Generał-major Kutschera, szef SS i policji na dystrykt warszawski, zasłużył sobie na miano "kata Warszawy". Jego dziełem była potworna pacyfikacja stolicy, prowadzona od połowy października 1943 r., jego pomysłem były masowe egzekucje publiczne, na jego rozkaz wymordowano jawnie 2000 więźniów i zakładników, nie licząc olbrzymich, potajemnych masakr w murach spalonego Ghetta. Generał-major Kutschera postawił sobie za cel zatopienie Walczącego Miasta we krwi. I w tej krwi — utonął. Zginął 1 lutego 1944 r. w Alei Ujazdowskiej, przed siedzibą Komendantury SS i policji — zabity przez patrol bojowy Armii Krajowej. O jego życie i śmierć stoczono walkę krótką, ale ciężką. Trwała ona trzy minuty zaledwie. Kosztowała wiele.

Była godzina 8.55, kiedy samochód wiozący Kutscherę z mieszkania w Alei Róż skręcał w Aleję Ujazdowską, aby po 700 metrach wjechać w bramę Komendantury SS i policji opodal wylotu ul. Piusa XI. Auto — jak zwykle — prowadził adiutant. Obok niego, po prawej stronie, siedział generał.

W tej chwili z ul. Piusa wyjechał samochód osobowy. Prócz szofera nie było w nim nikogo. Skręcając łukiem w lewo samochód ten wjechał w Al. Ujazdowską i ... przeciął drogę skręcającej w bramę limuzynie generała.

Oba samochody zwolniły biegu. Adiutant Kutschery dał trzy sygnały żółtym światłem rewerbera i opuścił w lewo strzałkę kierunkową. Drugie auto toczyło się powoli naprzód. Zderzenie zdawało się nieuchronne. Jeszcze dwa metry dzieliły maski aut, gdy ze środka jezdni zagrzmiała jak bliski piorun seria pistoletu maszynowego. Kutschera podniósł rękę obronnym gestem do twarzy i tak z oczyma zasłoniętymi, znieruchomiał.

Przez jezdnię od narożnego przystanku tramwaju biegło trzech ludzi. Pierwszy zbliżał się bijąc z pistoletu maszynowego do Kutschery z odległości kilkunastu metrów, dwaj skoczyli na przeciwległy róg. Trzech innych gnało chodnikiem. I znów jeden dopadł samochodu pakując serię pistoletową w twarz i tułów adiutanta Kutschery, dwaj inni sprzątnąwszy w przelocie wartownika, skierowali lufy pistoletów w okna Komendatury.

Z ciemnej wnęki bramy gruchnęły dwa strzały karabinowe. W lukę między obu samochodami, gdzie stał już, bijąc do Kutschery — dowódca akcji. Strzelający zachwiał się, ale nie upadł. Chciał jeszcze strzelać. Lecz już drugi strzelec, położywszy trupem adiutanta, śpieszył z pomocą, i siał kulami po nieruchomym cielsku generała.

Szofer, który rozpoczął akcję wyskoczył na jezdnię z pistoletem w garści, zaraz po pierwszych strzałach. Teraz skoczył do auta Kutschery. Wraz z towarzyszem porwali generała za bary i wywlekli z siedzenia na asfalt.

Ciężko ranny dowódca patrolu schodził z posterunku. Jego zastępca z jednym towarzyszem osłaniali akcję od strony Komendantury. W tej chwili ogień niemiecki walił już ze wszech stron na patrol. Strzelano z okien, strzelano sprzed dyrekcji policji kryminalnej, strzelano od strony ul. Piusa. Jakiś żandarm leżąc za drzewem bił seriami w dwu ludzi ubezpieczających akcję na rogu Piusa. Ranił już obydwu.

Lecz jeden z nich, mimo przestrzelonej piersi zdołał podtrzymać ogień i celnym strzałem unieszkodliwić żandarma. Leżąc obok rannego w brzuch kolegi zamiatał seriami ulicę Piusa i głąb Alei Ujazdowskiej. W nieustannym trzasku wystrzałów, w gwiździe i furkocie rykoszetów, trwał na swym straconym, nieosłoniętym posterunku, nie odejmując broni od twarzy.

Druga osłona, z brawurą i zimną krwią, stojąc w tej wściekłej strzelaninie, wymiatając kulami okna Komendatury, czekała na sygnał odwrotu. Nie wiedzieli, że dowódca był śmiertelnie ranny. Nie dosłyszeli jego głosu. Zresztą — i tak — trzeba było zdać się tu nie na dowodzenie, ale na własny instynkt walki i działania.

Donośny okrzyk: "Gotów" przedarł się słabo przez zgiełk gwałtownej strzelaniny. Na ten głos poderwali się wszyscy. Nawet ranni walczący w osłonie. Bijąc nieustannie z pistoletów ku następującym Niemcem, cofali się szybko do wylotu ulicy Szopena. Buchnął granat za nimi. Wszystko utonęło w dymie.

Jedna jeszcze kula — z okna — ukąsiła w głowę dzielnego szofera. Zalany krwią biegł dalej. Postrzał był lekki.

Dopadali narożnika, gdy nowy wybuch granatu wstrząsnął powietrzem. To szoferzy oczekujących na patrol samochodów likwidowali grupę żołnierzy biegnących na strzały. Niemcy skoczyli do bramy. Droga odwrotu utorowana.

Ostatnie strzały wypalił z pistoletu osłaniający rannych żołnierz Juno. Ten sam, który położył wartownika i tak dzielnie paraliżował ogień z Komendatury. Auto już ruszało w ślad za pierwszym, kiedy wskakiwał pod ogniem z domu Szopena 1. Odjechali.

Dym granatów stał jeszcze w powietrzu, trwała jeszcze strzelanina w Alejach. Na zabłoconym asfalcie stygł we krwi trup "kata Warszawy".

EDWIN

Wyrok na Brauna

Był to typowy Niemiec, typowy hitlerowiec, typowy okaz administracji okupacyjnej. Butny szowinista, a zarazem dekownik i tchórz. Służbista gorliwy, a zarazem zdzieracz i łapownik. Ogromny, spasiony drab o niesłychanej żywotności i żądzy użycia. Dygnitariat partyjny i zasługi w walce z polskością wyniosły go na wygodne a dochodowe stanowisko kierownika warszawskiego *Wohnungsamtu*. Tu *Parteigenosse* Braun dał się poznać jako wypróbowany eksterminator, brutalny wyzyskiwacz i niepohamowany chciwiec. Jego dziełem były przeprowadzone na ogromną skalę wysiedlenia i konfiskaty w Warszawie i dystrykcie warszawskim, wywłaszczenia tysięcy ludzi, tym szersze — im liczniejsze rzesze uchodźców napływały z bombardowanych Niemiec.

Braun dostał wreszcie wyrok śmierci, podpisany przez Kierownictwo Walki Podziemnej.

Biuro *Wohnungsamtu* mieści się w bocznym skrzydle Pałacu Blanka, od strony wąziutkiej uliczki Daniłowiczowskiej. W przedsionku stale dyżuruje trzech żandarmów. Na biurkach i na zakratowanych oknach leżą pistolety, granaty i inne świadectwa bojowej gotowości urzędników. U frontu Pałacu — wartownia żandarmska, w głębi ul. Daniłowiczowskiej — komisariat policji.

Tu, w biurze, Braun niczego się nie obawia. W mieszkaniu na Górnośląskiej też jest pewien siebie. Ale długa droga przez miasto niepokoi go zawsze. I dlatego Braun na zmianę jeździ trzema samochodami, z reguły w towarzystwie; raz występuje po cywilnemu, kiedyindziej w mundurze. Zwykłe środki ostrożności zalecane poufnymi okólnikami każdemu Niemcowi, prześladującemu Polaków.

Braun dostał przecież wyrok śmierci.

* * *

13-go grudnia o godzinie 8,10 samochód Brauna skręcał z Placu Teatralnego w ul. Daniłowiczowską. Wiózł trzy osoby. Tym razem towarzyszyła Braunowi jego przyjaciółka i kolega partyjny, stały kompan licznych hulanek, gruba szyszka Gestapo.

Auto zwolniło biegu i zahamowało przed bocznym wejściem. Pierwszy wysiadł Braun, za nim roześmiana kobietka. Ten trzeci obejrzał się, zawahał i ... po chwili namysłu wyskoczył, wyrywając pistolet z kabuszy.

Bo oto do samochodu zbliżało się szybko dwu mężczyzn, za którymi biegł dyżurny agent policji, gwałtownie szarpiący się za prawą kieszeń. Dalej ktoś czwarty dopadał z tyłu agenta, jawnie wymachując dobytym pistoletem i pokrzykując groźnie.

Wyrok śmierci ...

* * *

Przyjaciel Brauna zdążył wyrwać broń i dwa razy pociągnąć za spust, gdy padły śmiertelne strzały. Braun, trafiony w brzuch kulą z Colta, przewrócił się na chodnik. Leżąc dostał jeszcze dwa strzały w głowę. Równocześnie bryznęła seria z pistoletu maszynowego i drugi Niemiec padł na zwłoki Brauna, naszpikowany kulami, obok osunęła się martwa kobieta.

Sterroryzowany tajniak, na klęczkach proszący o litość, i szofer skamieniały przy kierownicy — byli jedynymi świadkami wykonania wyroku.

* * *

Po strzałach sprawiedliwości — cisza trwała krótkie sekundy. I od wylotu Daniłowiczowskiej zagrzmiał gwałtowny ogień pistoletów maszynowych. Jedna lufa zamiatała wjazd główny do Pałacu Blanka i wartownię skąd wyroiły się zielone mundury, druga biła po szybach w głąb zaułka Daniłowiczowskiej pełnego kwater żandarmerii.

Już tam strzelano z okien. Już i warta skoczyła do drzwi. Ale tuż przy trupach, przy wejściu, gruchnął potężnie granat i osłonił uliczkę tumanem białego dymu.

Drugi granat, ale rzucony przez Niemców z okna ... spłoszył tylko granatową policję z pobliskiego komisariatu.

Trzeci i czwarty buchnęły w asfalt na placu — terroryzując do reszty żandarmów z wartowni pałacowej.

Po za kłębami dymu zawarczał silnik samochodu. I ucichł nim dym opadł.

Akcja trwała 40 sekund. Krócej niż się da opowiedzieć ...

ŚWIADEK

"Zmarłym nieoczekiwanie ..."

Zmorą życia w Kraju — jedną z najcięższych do zniesienia — są łapanki uliczne. W życie szarego człowieka łapanki wprowadzają straszliwą niepewność każdego dnia i każdej godziny. Matka lub ojciec rodziny wychodząc rano do pracy z domu nigdy nie wiedzą czy wrócą do niego wieczorem. W ciągu całego dnia najgorszą chwilą jest ostatnie dziesięć minut przed godziną policyjną, po której nie wolno Polakom przebywać na ulicy. Jeżeli, któryś z domowników jeszcze nie wrócił z miasta, wszyscy pozostali z drżeniem nasłuchują czy nie rozlegnie się upragniony dzwonek lub pukanie do drzwi. Nerwy napięte są do ostatecznych granic. Niespokojne myśli przechodzą przez głowę, oczy co chwila zwracają się w kierunku zegara. Co będzie jeśli nie wróci przed ósmą?

Łapanka odrywa ludzi od ich zwykłych zajęć i rozdziela ich od rodzin w sposób najbardziej nieoczekiwany.

Przy pl. Kazimierza Wielkiego mieszkała chora kobiecina z 16-letnim synem. Chłopiec był dla niej wszystkim. Jeździł na szmugiel, handlował, zarabiał na utrzymanie matki i siebie, pielęgnował ją. Pewnego dnia zimowego wyszedł bez płaszcza, tylko w kurtce po lekarstwo dla matki do apteki naprzeciwko. Wyszedł i już nie wrócił. Na placu Kazimierza odbywała się właśnie łapanka. Po tygodniu z urzędu Gestapo matka otrzymała szablonowe zawiadomienie: *"Der Sohn im Konzentrazionslager Auschwitz gestorben"* /Syn zmarł w koncentracyjnym obozie w Oświęcimiu/. Można się domyśleć, że nie mając na sobie żadnego ciepłego okrycia zmarł na zapalenie płuc.

Solidarność społeczeństwa nigdy nie występuje silniej, jak w momentach zbiorowego niebezpieczeństwa. W dniach, w których odbywają się tak zwane "monstrłapanki" przechodnie na ulicy na każdym kroku ostrzegają się wzajemnie, wymieniają zapytania.

—"Na placu Zbawiciela spokojnie?"

—"Spokojnie" albo:

—"Niech Pan zawróci — przy Wareckiej stoją "budy". /"Buda" w warszawskim języku oznacza kryte brezentem auto ciężarowe, do którego Niemcy ładują schwytanych./

W jednym z takich niespokojnych dni, jechałem 19-stką, gdy na przystanku wszedł do tramwaju policjant granatowy i najzupełniej oficjalnym tonem oznajmił pasażerom:

—"Proszę opuścić wóz — na rogu Marszałkowskiej i Wspólnej łapanka".

Człowiekowi nie znającemu stosunków trudno jest ocenić, jak straszliwe ryzyko bierze na siebie człowiek, postępujący w ten sposób w obronie współrodaków.

Zdarzają się również jednostki, które rozmyślnie pozostają w zagrożonym rejonie dla ostrzegania innych i nie uciekają na widok "budy".

W pierwszej połowie stycznia 1943 r. Niemcy przeprowadzili w Warszawie łapankę na olbrzymią skalę. Schwytanych załadowano do wagonów towarowych na dworcu wschodnim i wywieziono do obozu koncentracyjnego w Majdanku. Przedtem poddano ich dokładnej rewizji osobistej, sprawdzając z największą dokładnością zawartość kieszeni i odbierając scyzoryki i inne ostre narzędzia. Wagony zaryglowano. Na drugiej stacji za Garwolinem żandarm stanowiący konwój pociągu spostrzegł, że ostatnie trzy wagony mają rozwalone ściany szczytowe, a w środku nie ma ani jednego więźnia. Tylko na podłodze pozostały łomy żelazne i topory, których czyjeś ręce zdołały niespostrzeżenie dostarczyć ofiarom łapanki na trasie pociągu, zapewne przez małe okienka wagonów. Około stu czterdziestu ocalonych ludzi powróciło szczęśliwie do Warszawy.

Po upływie dwóch, trzech miesięcy od chwili takiej "monstrłapanki", przychodziły z reguły fale krótkich szablonowych zawiadomień o zgonie. Czasem list wysłany przez rodzinę na urzędowym formularzu do obozu, zwracany jest z dopiskiem *"gestorben"* — zmarły. Niemcy naturalnie nie pozwalają na podawanie w nekrologu, że zgon nastąpił w Manthausen, Dachau, Oświęcimiu czy Majdanku. I oto bez żadnego zarządzenia czy porozumienia się wzajemnego — na klepsydrach osób, które zginęły w obozach koncentracyjnych umieszczano zdanie: "zmarł nieoczekiwanie". Wszyscy wiedzieli co to znaczy.

W dniu Święta Zmarłych widziałem na Grobie Nieznanego Żołnierza ogromny wieniec, od którego na kamieniu grobowca rozpościerały się dwie wielkie czerwone szarfy. Wypisane na nich były tylko te dwa słowa: "Zmarłym nieoczekiwanie ..."

JAN NOWAK

Czterdziesta podróż

Bandera nad stanowiskiem przeciwlotniczym na polskim statku handlowym

Szkocki "loch," w którym byliśmy zakotwiczeni, jaśniał rzadko tam widzianym słońcem. Jeden brzeg, cały pokryty wrzosem, wyrastał prawie prostopadle z zatoki i chronił ją od nieprzyjaznych wiatrów. Na drugim stoku słonecznym i o wiele łagodniejszym, przylgnęło kilka zabudowań, grzejąc się w słońcu. U dołu stanęło kilka białych domków z małymi ogródkami, dalej coś w rodzaju stodół czy szop, między którymi dróżka pięła się w górę, ginąc dalej między szachownicą małych pól. Gdzieś w połowie tej drogi pasło się kilka krów; takich zwyczajnych, nierasowych, łaciatych krów, a jeszcze trochę wyżej na zboczu siedziało ukosem kilkanaście kóp siana.

Z pokładu statku, gdy odcięło się dolną część obrazu — zatokę z paroma statkami na kotwicy — reszta do złudzenia przypominała obrazy z polskiego podgórza. Nawet wąskie miedze tam były, i jakieś drzewo na jednej z nich, podobne do gruszy. I patrząc przez lornetkę, widziałem — może nie bosego pastuszka, ale chłopca, który leżąc w słońcu na miedzy, machał w powietrzu nogami, od czasu do czasu zrywał źdźbło trawy, wkładał je do ust i ciął zębami. Tak jak to zwykł robić jego rówieśnik, Jaś tam w dalekim, dalekim kraju.

Wpatrywałem się przez lornetkę — jak niegdyś w dzieciństwie w czarodziejski kalejdoskop za parę groszy ukazujący dalekie cudowne kraje — i widziałem w niej takie samo zbocze, gdzieindziej . . . I nawet czułem zapach siana . . .

A może to tylko złudzenie?

* * *

Dziwne to objawy u marynarza: marzyć o sianie, krowach i domku . . . Ale doprawdy, wiele już lat upłynęło, gdy ostatni raz leżałem na zwyczajnym, niestrzyżonym trawniku, lub budziłem się zagrzebany w sianie, albo jesienią parzyłem palce ziemniakami, pieczonymi w ogniu pod lasem.

I choć kraje obce, które dziecko widziało w kalejdoskopie i zapragnęło poznać, dawno już, parokrotnie, żywe przesunęły się dorosłemu mężczyźnie przed oczyma — ten jeden, tak daleki teraz "Kraj Lat Dziecinnych" pozostał na zawsze drogi sercu i myślom. I jakże często przypomina się, opanowując myśl i sen, często zmęczonym oczom ukazując się jak Fata Morgana, lub każe stać z przylepioną do oczu lornetką na pokładzie i godzinami wpatrywać się w szkockie wzgórze, podobne tamtym i tyle wywołujące wspomnień.

A przecież marynarz nie powinien tęsknić.

* * *

Nocą podnieśliśmy kotwicę i zrobiwszy zwrot, wąskimi cieśninami wychodziliśmy — jak my mówimy — w morze, gdzie w pewnej umówionej pozycji mieliśmy dołączyć się do konwoju. Parokrotnie z ciemności błysnęły do nas sygnały świetlne, to znów patrolujący okręt oświetlił nas reflektorem, a jeszcze inny podszedłszy prawie zupełnie pod burtę, dudnił megafonem ostatnie instrukcje.

Nim nastał dzień, z ciemności zaczęły się wyłaniać szare sylwetki innych statków. Cicho, jak gdyby odprawiając jakieś misterium, zmieniały szyki, ustawiając się w kolumny. I gdy rankiem oświetliło nas słońce, morze — jak daleko można było objąć je okiem z mostku — pokryte było statkami.

Płynęły szybkie drobnicowe statki, zwyczajne trampy, tankowce, mniejsze statki pasażerskie, i nawet statki wielorybnicze, przebudowane do bardziej aktualnych potrzeb. Płynęły dziesiątki, dziesiątki statków, dziobami krając powierzchnię lekko pomarszczonego morza. I tam daleko, prawie że kryjąc się za horyzont, uwijały się długie, smukłe kontr-torpedowce i mniej zgrabne korwety — ochrona konwoju.

Płynęliśmy w pierwszej kolumnie na prawym skrzydle konwoju. Z lewej burty znajdował się cały konwój, którego drugie skrzydło ginęło za horyzontem, a z prawej — ocean i pustka. Dano nam to miejsce, gdyż w razie ataku mieliśmy pewną rolę do spełnienia, do której statek został specjalnie wyposażony. Lecz mimo to nie miło było pomyśleć, że z tej burty byliśmy odsłonięci.

Na pokładzie marynarze ukończyli mocowanie ruchomych przedmiotów, klinowanie ładowni, układanie lin, i rozpoczęła się normalna rutyna okrętowa: służba na mostku, przy sterze, karabinach maszynowych, dziale, lub w maszynowni. Dzień i noc, przez wiele, wiele dni. A dni w morzu są długie . . .

* * *

Byliśmy dziewięć dni w morzu, a już ósmy dzień trwał sztorm. Dziewiąty dzień — a my znajdowaliśmy się zaledwie paręset mil od brzegów Anglii, z trudem robiąc dwie do trzech mil na godzinę. A przecież do przepłynięcia pozostało jeszcze prawie trzy tysiące!

Dziwny to był sztorm. Nadszedł nagle, tak jak inne, lecz zjawił się przy niezachmurzonym niebie, w słońcu, które odbijając się w fali, raziło w oczy, a wierzchołkom z piany nadawało niesamowity kolor.

Nie był to zwyczajny biały kolor. Było to coś, co jest bielsze, jaśniejsze i czystsze nad wszystko inne. A porwane siłą wiatru, pokrywało sobą całą powierzchnię morza, zmuszając do mrużenia oczu w wąskie szparki. A nad tym wszystkim kołysał się błękit, na którym tylko czasem ukazał się mały, poszarpany wiatrem obłoczek. I szybko przebiegał sklepienie i chował się za horyzontem.

W tej białej pianie i słońcu, płynął i nurzał się konwój. Dawno już sztorm i wiatr zniosły kolumny, i statki ginące raz po raz za górami wodnymi, płynęły rozbitym stadem. Uderzywszy dziobami w falę, statki kryły się w niej na długą chwilę, zmyte całe od dziobów do ruf gotującą się pianą, a fontanny wody odbite od nadbudówek, wystrzeliwały w powietrze.

Statek nasz ciężko pracował na fali. Był mniejszy od innych, najmniejszy w tym olbrzymim konwoju ,i zakopywał się głęboko pod uderzeniem każdej fali, biorąc na pokład dziesiątki ton wody. To znów, uniesiony na grzbiet, rzucony w górę siłą fali, napróżno wściekle bił śrubą powietrze — nie posuwał się, tracił szybkość, i zostawał w tyle. Upłynął jeszcze jeden dzień wysiłków, by utrzymać się ze stadem, lecz ono oddalało się coraz więcej, a raczej my zostawaliśmy w tyle, i przed nastaniem nocy, konwój znikł za horyzontem. Jakiś czas jeszcze snuły się stamtąd dymy, lecz wkrótce i one znikły.

Zostaliśmy sami.

* * *

Ataki okrętów podwodnych rozpoczęły się po dwu dniach storpedowaniem tankowca /statek-cysterna/, który tak jak i my odpadł w sztormie od konwoju. Płynął niedaleko nas, między nami a konwojem, który znajdował się w tym czasie piętnaście do dwudziestu mil przed nami. W godzinę po obiedzie, z mostku zobaczyliśmy, jak spod jego burty wystrzeliła w górę fontanna wody zmieszana z dymem. Zapalił się, lecz jeszcze płynął i wcale nie brał przechyłu. W pięć minut później druga torpeda ugodziła go w śródokręcie. Nastąpił wybuch. Tankowiec złamał się i natychmiast zatonął.

Widzieliśmy to wszystko z mostku. Jeszcze pięć minut temu płynął tam przed nami, dymiąc nieco z komina i kołysząc się na martwej fali, jaka pozostała po sztormie, a teraz morze zamknęło się nad nim. Nie pozostała na powierzchni żadna łódź ni tratwa. Zginęli wszyscy — desek tylko parę i duża plama ropy znaczyły miejsce, gdzie utonęli.

Zmieniliśmy gwałtownie kurs, i zygzakując, uciekaliśmy od tego miejsca z największą szybkością, jaką mogły dać z siebie zmęczone i nadwyrężone sztormem konie mechaniczne. Byliśmy wobec okrętu podwodnego bezbronni. Gdyby wynurzył się i atakował z powierzchni, mielibyśmy pewne szanse w walce, lecz gdy pozostaje w zanurzeniu, jedynym naszym ratunkiem może być "strategiczny odwrót." Szybki odwrót.

Upływały minuty. Długie, długie minuty, kiedy każde zmarszczenie fali wydawało się śladem peryskopu, kiedy myślało się, że teraz wystrzelili torpedę. Pędzi . . . zbliża się, już powinna wstrząsnąć statkiem . . . i . . . nic! Płynęliśmy dalej! Minuty przeszły w godziny, napięcie spadało, aż doszło do stanu normalnego w morzu. I tylko, gdy motorzysta przelewający oliwę do żelaznej beczki, upuścił ją nieostrożnie z hukiem na pokład, zerwaliśmy się wszyscy, gdzie kto stał, pewni, że "to już".

I nigdy chyba nie dowiemy się, dlaczego ów okręt podwodny, który nie mógł nas nie widzieć — nie zaatakował nas. Zmienialiśmy kursy całą noc, a potem zawróciliśmy goniąc za konwojem, lecz nie byliśmy atakowani. A może poszedł za konwojem, nie chcąc tracić na nas czasu?

Konwój był atakowany tej nocy. Atakowała t.zw. "*wolf pack*," stado całe, i z rozkazów przejętych przez naszą radiostację, wiedzieliśmy, że było tam gorąco.

Następnego dnia otrzymaliśmy przez radio polecenie udania się na pewną pozycję, gdzie samolot patrolujący zauważył łódź ratunkową z rozbitkami. Płynąc tam, znaleźliśmy przedtem inną łódź i dwie tratwy — wszystkie bez ludzi. W łodzi, którą podnieśliśmy na pokład, znaleźliśmy części bielizny, dość dużą ilość prowiantu i kilkadziesiąt dziur od kul karabinu maszynowego. Klęliśmy.

Straciliśmy kilkanaście godzin w poszukiwaniu za rozbitkami, lecz nie znaleźliśmy ich. A ponieważ radiostacja stale dostarczała ostrzeżeń o okrętach podwodnych spostrzeżonych o kilkanaście mil od nas, zmieniliśmy kurs równolegle do konwoju, który w międzyczasie bardzo się już oddalił.

Przez następne cztery noce, konwój, który my na próżno staraliśmy się dogonić, był atakowany przez "*wolf pack*", ponosząc pewne straty. A my nie wiedzieliśmy, czy się cieszyć, że płyniemy z tyłu i nie jesteśmy w piekle tamtej walki, czy też oczekiwać chwili, kiedy kilkunastu korsarzy odpędzonych od konwoju, zostanie z tyłu, i spostrzegłszy nas, w chwil kilka pośle nas na dno.

Zmieniać kursu nie mogliśmy — zewsząd raportowano okręty podwodne. Była to jedna z rzadkich już dziś koncentracji niemieckich. Pozostawało tylko płynąć i liczyć na szczęście. I jeść dużo, bo każdy posiłek mógł być ostatnim ciepłym posiłkiem na wiele dni — dla tych, którzy by się uratowali.

* * *

Szczęście nam jednak dopisało. Pewnej nocy, w pełni księżyca, dojrzeliśmy daleką linię brzegu. A gdy wczesnym rankiem wchodziliśmy do portu, Nowy Jork jeszcze spał, i kilku robotników śpieszących do pracy, nawet nie zwróciło na nas uwagi, gdyśmy płynęli kanałem u stóp drapaczy chmur. Jeden tylko odwróciwszy głowę na głos naszej syreny, spojrzał w górę, i zobaczywszy biało-czerwoną banderę na gaflu, stanął i zaczął wymachiwać rękoma, czapką, a potem nawet zawiniątkiem trzymanym przedtem pod pachą — może obiadem. Pewnie "tutejszy" Polak.

A później, w czasie obiadu, gdyśmy pili toast na cześć Neptuna, prosząc go o pomyślne wiatry dla statku, który w wojennej potrzebie czterdziestą podróż ukończył przez jego królestwo — Północny Atlantyk — Paweł, kopnąwszy mnie w kostkę pod stołem, zapytał Bolka:

—Ty, a bardzo się bałeś, gdy tamtych topili?

—Jeszcze jak! — odparł zapytany — Nogi mi się trzęsły, tym bardziej, że miałem na nich nowe buty, którym słona woda szkodzi.

* * *

Cały następny dzień, paru z nas, przeleżało na trawie "na wsi" pod Nowym Jorkiem. Niestety, był to dobrze utrzymany trawnik, na drzewa wspinać się nie było wolno, siana nie widziano w okolicy od paru dziesiątek lat, a mleko przychodziło w butelkach wprost z mleczarni.

Dziwny kraj . . .

STEFAN GAZEŁ

Trzeci sierpnia

"Uszanuj inne bronie,
Lecz swoją ceń najwyżej . . ."

Or-Ot.

Po raz piąty obchodzi Konna Artyleria swoje święto doroczne nie w Kraju, lecz na dalekiej obczyźnie. Źle mówię, nie na obczyźnie, lecz rozrzucona po całym świecie — od górzystej Szkocji po Afrykę Południową, od Normandii, przez Szwajcarię, Niemcy, Włochy, Polskę aż hen, po zimny Bajkał i upalny Egipt. Nie ma bodaj kraju, nie ma części świata, gdzie by nie było Polaków, a wśród nich zapewne i konnych artylerzystów. Jedni z bronią w ręku, w zwartych oddziałach, inni, starsi, po urzędach cywilnych, inni znów — w obozach internowanych lub w "Stalagach", lub w więzieniach. Jeden Bóg raczy wiedzieć, gdzie są i ilu ich jest.

* * *

Tych, których dusze już przekroczyły furtę niebieską, porzuciwszy strudzone żołnierskie ciała na ziemi — tych już się nigdy nie doliczymy. Wieczny odpoczynek racz Im dać Panie!

A wszyscy inni, co jeszcze chodzą po tej ziemi, kiedyś, któregoś 3 sierpnia staną do apelu, sprężą się na baczność na dźwięk srebrnych trąbek ślących ku niebu zadzierzyste, porywające tony marsza Konnej Artylerii.

I potem, w koleżeńskim gronie będą opowiadać każdy o sobie, każdy swoje dzieje, jakie przeżył w ciągu tych lat tułaczki, lat mroku, lat bólu i tęsknot.

* * *

Każda opowieść będzie inna, odmienna, bo inną ścieżką idzie każde życie ludzkie. Ale w każdej znajdziemy jedną, wspólną dla wszystkich myśl, myśl — tęsknotę, myśl — pragnienie i myśl — wiarę, co, jak pacierz codzienny, dzień po dniu w ciągu tych lat była z nami i była w nas: nic Polski nie zmoże, nic nam Jej nie zabierze; Polska była, jest i będzie; a ciężkie ołowiane chmury co teraz przewalają się nad Nią, rozpędzi dobroczynny wiatr i po nim zaświeci słońce.

Ta myśl — wiara, prosta, niemal dziecinna przez swą ufność, a mocna przez swe oparcie o Boską wszechmocność i sprawiedliwość — prowadziła każdego z nas, pozwoliła przeżyć najgorsze chwile, pomogła zwalczyć najstraszniejsze zwątpienia.

* * *

I dziś, chociaż mrok straszliwy dokoła nas, wierzymy w zmartwychwstanie Polski. Co dziś wydaje się nam niemożliwe, jutro wciela się w życie.

Uczciwy, ludzki i pełen szacunku stosunek do bliźnich w życiu osobistym przy zachowaniu godności własnej, a taki sam stosunek do innych krajów i narodów przy nieuronieniu niczego z głębokiej miłości i wierności dla własnej Ojczyzny — sprawi, że znajdziemy u innych przyjaźń, zrozumienie i pomoc.

Myśl tę zawierają przytoczone jako motto słowa poety pisane dla Konnej Artylerii.

Wierzmy więc, wierzmy z ufnością dziecka, wierzmy z siłą wiary chrześcijanina, wierzmy ze spokojem żołnierza, wierzmy z dojrzałością mężczyzny, wierzmy z logiką rozumu.

Wiara, siła wewnętrzna, spokój i opanowanie, rozum i rozwaga, wyższość ponad nierozsądne uprzedzenia — to nam pomoże wyjść z tych złych terminów.

KONNY ARTYLERZYSTA

HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE ?
ST. JAMES' BALM
ANTIVIRUS OINTMENT
DESTROYS GERMS
AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT
Send for FREE SAMPLE
MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd
CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25

Samolot zaporowy nad polskim statkiem handlowym

Z Pescary ku Anconie

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

18.*VI.*

Właściwie zaczęło się od Pescary, bo stąd trzeba było dopędzać oddziały, które były w ciągłym pościgu. Gdzieś koło Pineto natknęliśmy się na baon odwodowy i dowództwo Brygady Strzelców Karpackich. Bez większych starań znalazło się miejsce na jednym z bantamów, jadących ku przodowi. W kilometrach to właściwie nie bardzo daleko, ale kwestia odległości jest w czasie wojny względna. Tu mieli coś do powiedzenia i Niemcy. Zniszczyli wszystkie mosty, a piękna asfaltowa szosa była w wielu miejscach wysadzona na całej swej szerokości. To też liczne objazdy zabrały nam wiele czasu.

Z trudem mijamy długą kolumnę artylerii i wreszcie stajemy . . . nad rzeką. Po deszczu, wody przybyło, więc samochody, które usiłowały dostać się na drugą stronę stawały najczęściej w środku rzeki. Tylko niektórym udało się ją przebyć. Teraz zaczyna się skomplikowany proceder wyciągania wozów z wody. Część bantamów wyciągnęły ciągniki artyleryjskie.

Miało się ku wieczorowi, gdy dojeżdżaliśmy ku przedmieściom Giulianova. Mimo deszczu, na ulicach pełno ludzi. Witają nas z takim entuzjazmem, jak to Włosi umieją. Klaszczą w dłonie, krzyczą i rzucają kwiaty. Nie przejeżdżamy pierwsi, wiedzą już, że jesteśmy Polakami. Wznoszą okrzyki: *"Viva la Polonia!"* /Niech żyje Polska!/ Odpowiadamy wiwatami na cześć Włoch. Tak było przez całe miasto. Choć robi się ciemno i deszcz pada dalej, ludzi na ulicach nie ubywa.

Z trudem posuwamy się dalej. Dzieci czepiają się samochodów i włażą do nich. Nie można się opędzić. Jadący dawno już rozdali wszystką posiadaną czekoladę, zaczyna im brakować papierosów, lecz Włosi widocznie wiedzą, że Polacy lubią dzieci. Bantam wytrzymał dodatkowy ciężar przynajmniej dziesięciorga dzieci, co dobrze świadczy o jakości wozu. Wielkie uznanie należy się kierowcy, który musiał dołożyć wiele starań, aby małym pasażerom zapewnić całość i bezpieczeństwo.

Mijamy wreszcie zamieszkałą część miasta. Dzielnica nad morzem jest pusta. Niemcy usunęli stamtąd ludność cywilną. Można się za to spodziewać pułapek minowych. Zatrzymujemy się w pustym domu.

W zabudowaniach przy drodze mieści się część oddziału pościgowego. Kompanie strzeleckie są już za rzeką, kilka kilometrów w przodzie. Most na rzece jest zerwany i dopiero jutro za dnia będzie można dostać się dalej.

Leżymy na ziemi i mówimy o przeżyciach minionego dnia. Żołnierze nie byli nastawieni na pościg. Po bitwie o Cassino mieli właściwie tylko kilkanaście dni prawdziwego wypoczynku. Gdy zostali przeniesieni do akcji, Niemcy byli w odwrocie, zdołali się sprytnie oderwać od naszych poprzedników na tym odcinku. Z tego powodu różnica w czasie między opuszczeniem a zajęciem terenu była początkowo duża, teraz zmniejsza się stopniowo. Nasi mają nadzieję, że w najbliższych dniach dopędzą Niemców, którzy na razie szybko uciekają.

19.*VI.*

Koniecznie chcę dopędzić oddziały czołowe, a wobec tego, że przejazd przez rzekę Salinello jest zamknięty, nie pozostaje nic innego, jak zdjąć buty i w ten sposób znaleźć się na drugim brzegu, gdzie jakiś "okazyjny" bantam podrzuci mnie dalej. Na brzegu zastaję dowódcę baonu pościgowego ppłk. Sz., któremu melduję się. Jego wozem dostaję się do Martinsicuro, gdzie znajduję O.R. z mjr. F.

—"Jest propaganda, no wreszcie. Chce pan być w przodzie więc pojedzie pan na carrierze".

Tak więc na carrierze po błotnistej, polnej drożynie, znowu przez rz. Tronto zdążamy ku S. Benedetto. Rozminowywanie drogi i ulic w mieście odbywa się bez wypadku. Tu otrzymujemy znaczną pomoc ze strony partyzantów włoskich. Przychwycili oni wczoraj Niemca, który zakładał miny, a dziś przekonali go, że miny trzeba rozbroić. Okazało się, że niektóre musi się wysadzić, bo są połączone z pułapkami.

Ludność, której coraz więcej schodzi do miast, wiwatuje bez przerwy. To, co działo się w mieście i okolicy trudno opisać. Carriery były zasypywane nie pojedynczymi kwiatami, ale całymi bukietami. Wyglądały jak wozy na święcie kwiatów. Róże i goździki zdobiły wszystkie wozy. Jak droga długa — pełno ludzi. Klaszczą bez przerwy i krzyczą, krzyczą. Wielu z nich ma chorągwie o barwach włoskich, są i brytyjskie a nawet amerykańskie. Gdy zorientowali się, że to jadą Polacy, skombinowali na poczekaniu flagi polskie przez zwinięcie koloru zielonego z chorągwi włoskich. *"Eviva la Polonia! Evive liberatori!"* — brzmiało bez przerwy. Tamowano drogę. Żołnierzy siłą zmuszano do przyjmowania wina i owoców. I kwiaty, wciąż nowe kwiaty. Droga była nimi, dosłownie, wyścielona.

W obsłudze carriera nastąpił podział ról. Kierowca szczególnie musiał uważać, aby nie zawadzić o szpaler ludzi, inni na zmianę oddawali ukłony, wiwatowali . . . a przecież szliśmy jako czołowe rozpoznanie. Wprawdzie Niemcy byli o jeden dzień różnicy, ale miny leżały wszędzie. Tego Włosi nie mogli zrozumieć, zaczynaliśmy także i my po trochu o tym zapominać.

Osobny rozdział należy się kobietom. Co one wyprawiały, przechodzi ludzkie pojęcie. Klaskały, krzyczały, powiewały chusteczkami, biegły za carrierami. W chwili zatrzymania piękna dziewczyna rzuciła się na porucznika P. i siarczyście go wycałowała. Przejęty działaniami bojowymi porucznik, podobno "zapomniał języka w gębie" i, jak twierdzą naoczni świadkowie, nie odwzajemnił się Włoszce. Tego podkomendni nie mogli mu darować, bo przecież to psuje naszą reputację. Co o nas Włoszki pomyślą?!

Piszę w pierwszej osobie liczby mnogiej, ale w atmosferze jaka nas otaczała można było zapomnieć o czterech krzyżykach. W powitaniu nie robiono różnicy, skoro starszym panom wręczano zarówno piękne goździki, jak i czerwone róże. Na odwrót jakaś miła babcia tuliła młodego żołnierza i płakała, całując go w czoło i ręce. Zmieszany chłopak nie mógł temu drugiemu zapobiec. Ale był wzruszony, przecież na pewno przypomniała mu się jego matka czy babka. Ludzie całowali carriery, gładzili je, dotykali . . .

Patrzyłem na twarze wiarusów, co pół świata przeszli. Kierowcą naszego carriera był sam pan sierżant, o zawadiackiej minie. Nie, to na pewno mi się zdawało, ale wtedy byłem przekonany, że mu się oczy dziwnie zaszkliły . . . To nie przynosi ujmy. Były momenty, gdy wśród wybuchów radości tłumów — dziwnie poważnieliśmy. Czy można w takich chwilach nie myśleć o tym, co przez pięć lat kołacze bez przerwy w sercach.

Panie kierowco! Uwaga! Nie wolno ci poddawać się wzruszeniu. Musisz pilnie baczyć na wóz, bo znowu podbiegają dzieci, dziewczęta rzucają kwiaty. Nie rzucają, ale chcą oddać do rąk. Asfalt śliski po deszczu i o wypadek nietrudno. Istotnie, Włosi stracili poczucie rzeczywistości. Podbiegają do jadących wozów, jakby to były dziecinne wózki na gumowych kółkach; wystarczy lekkie zarzucenie gąsienic i nieszczęście gotowe. Widocznie wszystko było tak przesycone radością i szczęściem, że zło nie miało dostępu.

Na postojach Włosi przynosili wino. Najpierw we flaszkach, aż wreszcie jakiś partyzant zorganizował to lepiej: na bantama postawiono beczkę i sączono z niej wino wszystkim, wzdłuż całej kolumny. Opowiadają znawcy, że podczas całego pobytu we Włoszech, tak dobrego wina jeszcze nie pili. Widocznie Włosi mieli inne wino na sprzedaż a innym raczyli oswobodzicieli. Ciekawe, że przy naszym pociągu do niszczenia alkoholu, widziałem wielu żołnierzy, którzy odmawiali grzecznie i miary nie nadużyli.

Długo nas zatrzymywano przy przejazdach. Tu bez przerwy pracują pionierzy. Im należy zawdzięczać, że tyle min unieszkodliwiono. Wiele wysiłku i ofiar złożyli zarówno saperzy dywizyjni jak i pionierzy baonowi, ale o tym chyba kiedyś osobno pomówimy.

Znowu deszcz nas skrapia. Zatrzymujemy się na nocleg. Jutro pościg pójdzie dalej.

20.*VI.*

Już drugi dzień posuwamy się za Niemcami. Dzieli nas tylko jedna doba. Zdaje się nam jednak, że odległość między nimi a nami maleje. Praktycznie biorąc wynosi nie więcej niż 15 — 20 km. Posuwamy się nie bez przeszkód. Mosty wysadzono, a objazdy są bardzo utrudnione. Wszystko co nadaje się do przejazdu zaminowali Niemcy w tak chytry sposób, że nasi pionierzy wiele czasu musieli poświęcić na oczyszczenie przejść.

Zasypywanie lejów i usuwanie gruzów odbywało się przy pomocy *buldozera*, który bardzo imponował Włochom. Trzeba też było podziwiać rezultaty pracy tej maszyny. Obok wysadzonego mostka kupa gruzów. Maszyna z potwornym pługiem przejeżdża raz i drugi i połowa leja zasypana. Resztę wykonuje się rękami. Wiele pracy wykonali cywilni Włosi, którzy z początku tylko wiwatowali. Kiedy zwrócono im uwagę na konieczność naprawiania dróg, robili to z prawdziwą ochotą. Bardzo czynna była młodzież, która przede wszystkim rzuciła się do roboty. Nie mniej pracowali starsi. Widziało się stare kobiety, które na rękach nosiły cegły i kamienie do zasypywania lejów. Siwi Włosi kopali ziemię.

Zarówno wczoraj jak i dziś spotykamy się ze znaczną ilością partyzantów, czy jak ich nazywają Włosi — patriotów. Było by dość trudno określić czego dokonali. Powierzchownie sądząc, można by powiedzieć, że robią dużo ruchu. W cywilnych ubraniach, są przesadnie uzbrojeni. Wieszają na sobie wszystko, co może budzić obawę i grozić niebezpieczeństwem. Taki wojownik, czasami bosy lub w słomkowym dużym kapeluszu, ma na plecach karabin włoski lub rzadziej niemiecki, za pasem rewolwer i nóż. Jeżeli który miał włoski granat zaczepny, nosił go najczęściej w ręku. Wydaje mi się, że bardzo im imponowało posiadanie angielskiego granatu obronnego, można go też bowiem przypiąć do pasa. Widziałem partyzanta z dubeltówką i . . . parasolem. Młodsi uwijali się na rowerach, zdaje się bez wyraźnego celu.

Ostatecznie partyzanci służyli informacjami, wskazywali drogę, zatrzymali kilku Niemców, ale nie zabili żadnego.

Zgłosiło się do nas kilku Polaków z armii niemieckiej. Jeden z nich pochodzi z Pomorza. Przed kilku tygodniami był na urlopie.

Obaj "jeńcy" byli tak przejęci faktem spotkania polskiego wojska, że trudno ich było męczyć pytaniami. Jedno jest pewne, że w Kraju o nas wiedzą. Wiadomości o Cassinie mieli z radia londyńskiego. Wiadomości te podawane z ust do ust urastają do wielkości legendy. One krzepią naród i umacniają w oporze, który trwa bez przerwy. Oczekują naszego przybycia, co — wedle ich mniemania — ma nastąpić przed październikiem 1944.

Wiele powie wam list żołnierza-Polaka z armii niemieckiej, pozostawiony u Włocha z poleceniem, aby go oddał żołnierzom polskim. Dosłowną treść listu z zachowaniem pisowni przytaczam:

"Do pierwszej lepszej komendy Polskiej!

D. 12.VI.44 r. Kochani Rodacy. Z dnia na dzień oczekujemy na Was, na Wasze spotkanie. Nie bujcie się, niemieckie wrogi Wasze upadają na duchu, natomiast ratujcie rodaków swoich, którzy setkami giną w lagrach hitlerowskich. Hociasz nas oblekli w ten germański mundur, lecz serc naszych nieprzemienią, zawsze jesteśmy zło wrogo usposobieni dla tych przeklętych bydlaków.

Nie jeden raz prubowaliśmy uciec, lecz Wy wiecie, że nas mają mocno na oku. Lecz wybije ta godzina rze pęknie kajdan niewoli naszej, a biały nasz orzeł wyfrunie ponad obłoki i nad polskie łany. A więc kochani rodacy pospieszcie z pomocą, a Bóg Wam zato stokrotnie wynagrodzi, kończąc ten krótki liścik, pozdrawiam Was Wszystkich, lecz nietylko ja sam lecz kilkudziesięciu Polaków znajdujących się w tej baterii, zostańcie z P. Bogiem i niech Was Bóg prowadzi". Następuje podpis z podaniem adresu w Polsce.

Owacje ze strony ludności włoskiej były i dziś gorące i serdeczne. Znaczna jej część w obawie przed bitwą usunęła się dalej od głównej szosy. Teraz wracali do domów. Z nimi szli inni, aby zobaczyć nowe wojsko. Schodziły więc z pagórków całe procesje, z daleka wymachując chorągwiami. Po wszystkich kościołach biły dzwony, że zaś kaplic i kościołów jest tu wiele, nasze carriery, świeżymi ubrane kwiatami, sunęły przy dźwiękach dzwonów.

Żołnierz śpieszył się, nie czekał na zaopatrzenie, ale parł naprzód, chcąc jak najprędzej dopaść Niemców. Traktowano to spokojnie i rozsądnie. "Byle nastąpić im na ogon to nie tylko przetrzepie się psubratów, ale przeszkodzi w niszczeniu mostów i dróg. Nie będą też mogli zakładać tyle min" — słusznie tłumaczył mi pan szef. Cóż kiedy szybciej iść nie było można. Szybsze, a tym samym niedokładne rozminowanie terenu powodowało szkody w sprzęcie i straty w ludziach.

Dzień dzisiejszy był ciężki. Okropne zniszczenia nie pozwoliły nam przebyć więcej, niż 14 km. Ludność skarży się na barbarzyńskie postępowanie Niemców. Rabowali, co się dało, zabierali bydło, konie i wszelkie pojazdy a nawet i rowery. W rejonie Grottammare pewien Włoch wzbraniał się wydać konia. Załatwiono krótko: konia zabrano, zostały natomiast trzy trupy domowników. Matka i żona pomordowanych chciały się rzucić na jeńca, którego prowadzili nasi żołnierze. W Pedaso dwóch Niemców usiłowało zgwałcić dziewczynę. Ujęli się za nią sąsiedzi. Jednego napastnika zabito, drugi zdołał uciec. Jakkolwiek odbyło się to w czasie odwrotu, Niemcy wrócili i zamordowali 18 mężczyzn przygodnie spotkanych. Zdaje się, że obecne postępowanie Niemców przekona na zawsze Włochów kim są ich byli sprzymierzeńcy.

Pod wieczór pogoda się psuje. Deszcz pada bez przerwy. Zatrzymujemy się na noc w Pedaso. Pionierzy wysadzają miny na rzece. Jutro będzie mniej roboty.

21.*VI.*

Oddziały pościgowe zmieniają się. Z żalem pożegnałem sympatyczną obsadę carriera. Zżyliśmy się w przeciągu tego krótkiego czasu — kiedy mię żywili, okrywali i wozili. Żołnierze, jakkolwiek wymęczeni, pozostawali niechętnie. Chcieli mieć tę przyjemność, aby dopaść Niemców. Choć wiedzieli, że nie przyjmą ich kwiatami.

Nowy dowódca, chcąc zapewne dać mi możność doznania silniejszych wrażeń wyznaczył mnie do plutonu pionierów, którzy szli na czele i rozminowywali drogi. Ten dzień przebyłem raczej pieszo. Od 6 rano usuwano miny na rzece, miałem możność przyjrzenia się z bliska tej ciężkiej a tak niebezpiecznej pracy. Mimo skrupulatnego przeszukiwania, wyleciał carrier na minie.

Od S. Giovanni za rzeką Tenna było mniej zniszczeń, ocalały trzy mostki. Pogoda była piękna. Nasilenie owacji ze strony ludności wzrastało. Droga prowadzi blisko morza, w kierunku lądu teren wznosi się. Ludność zaległa szosę, a zbocza wzgórz zakwitły od chorągwi, którymi wymachiwano w stronę posuwających się żołnierzy. I znowu kwiaty, całe masy bukietów. Na jadące wozy padały rolki kolorowych pasków papierowych. Naprawdę jak na zabawie czy festynie.

Dla urozmaicenia czy uzupełnienia serii uścisków, do kroczącego z groźną miną plutonowego podbiega Włoszka z pięknym kilkuletnim bobem na ręku. Maleństwo objęło żołnierza za szyję i przytuliwszy się ucałowało. Jaka szkoda, że tego nikt nie sfotografował. Czy trzeba dodawać w jakim kłopocie był pan plutonowy, nie mogąc ukryć łezki wzruszenia.

Księża na czele parafii witali wojsko. Idącym żołnierzom ręce mdlały od niesienia bukietów, a odłożyć na ziemię nie wypadało, bo wszędzie było pełno ludzi. Może dobrze stało się, że zmieniono oddział pościgowy. Wczoraj koledzy byli już tak zmęczeni ciągłymi owacjami, że nie zawsze mogli zdobyć się na oddanie ukłonu czy uśmiechu.

Po południu zauważono znaki na ziemi, które świadczyły, że Niemcy są już gdzieś niedaleko. Przede wszystkim partyzantów nie było widać na lekarstwo. Spotkaliśmy dwóch, którzy na trójkolorowych opaskach mieli także emblematy komunistyczne, ale ci w pilnych sprawach zdążali na motocyklach ku tyłom. Wybuchy /wysadzanie mostów/ słychać było już niedaleko, a kiedy doszły od lewego skrzydła strzały "Spandau'a", nie ulegało wątpliwości, że wreszcie styczność z nieprzyjacielem zostanie nawiązana. W rzeczywistości około godz. 17,00 pionierzy i osłona, przekraczając rzekę Chienti zostali ostrzelani. Odezwały się też moździerze npla. Wobec zapadającego zmroku zajęto stanowiska obronne.

22.*VI.*

Już wczesnym rankiem byliśmy nad rzeką. Patrol nasz znowu próbował przejść przez wodę, ale został ostrzelany. Teraz dopiero zauważyłem, że ogień idzie z białego domku, znajdującego się na przeciwległym brzegu w odległości 400 — 500 m. Wobec tego, że strzelały tylko "Spandau'y" nabrano przekonania, że to zapewne tylna straż stara się opóźnić nasz pochód. Znowu któryś z naszych za dużo wychylił się zza nasypu. Strzał pojedynczy, to znowu krótka seria. Jest już ranny, na szczęście lekko. Zdaje się, że wpadł w oko strzelcowi wyborowemu.

Czekamy na moździerze, ale bezczynność denerwuje naszych żołnierzy. Nawet stateczny porucznik-pionier K. nie mógł wytrzymać. Ze zdobycznego niemieckiego garłacza otworzył ogień. Okazało się, że pocisk padł w połowie odległości od domu. Nie było celu strzelać dalej — zaraz zacznie strzelać artyleria. O godz. 8,57 pierwsze pociski naszej artylerii padły na domek za rzeką. Potem całe serie. Ogień trwał kilkanaście minut.

Bardzo przyjemnie słucha się gwizdów własnych pocisków, które spadają o kilometr dalej. Już posuwają się naprzód patrole piechoty, a oto do huku dział dołączają dubeltówkowe wystrzały naszych moździerzy. Pewno wkrótce po Niemcach nie będzie śladu. Uciekną lub zniszczy ich nasza artyleria.

Pomylono się jednak. Niemcy nie uciekli, ale niespodzianie zaczęli okładać nas ogniem moździerzy i ciężkiej artylerii. Zrobiło się trochę gorąco. Wozy zaczęły się szybko wycofywać do tyłu. Za chwilę było przestronniej. Wszystko zniknęło. Żołnierze pokryli się w zbożu, w nierównościach gruntu, a tylko moździerze i artyleria biły dalej. Zdaje się, że nieprzyjacielowi chodziło przede wszystkim o moździerze i wziął je pod silny obstrzał. Zieleń, której tu jest pełno, daje osłonę przed okiem npla, ale nie daje ochrony przed pociskami.

Wojna rozpoczęła się na dobre. Moździerze ostrzeliwują czołowe oddziały, artyleria wali wzdłuż szosy. Jakie szczęście, że strzelają o jakieś 100 m w bok. I tak jest już pięciu rannych, w tym jeden śmiertelnie. Ranny jest por. Ł. dowódca moździerzy, który choć zakwalifikowany do ewakuacji i dotkliwie pokaleczony w głowę i bok, pozostaje w plutonie.

Gdy na chwilę ucichło nasi żołnierze powystawiali głowy z różnych dziur. Ubyło kilku, ale reszta nie traci humoru i dokucza pionierom, że to ich dowódca rozpoczął dzisiejszą wojnę niemieckim garłaczem.

Przez cały dzień trwa wzajemna wymiana strzałów. Nasze patrole kilkakrotnie usiłują przekroczyć rzekę, ale silnie ostrzeliwane muszą się wycofać. Jeden z patroli wpadł w tak silny ogień "Spandau'ów", że zdawało się, iż tym razem źle. Chłopcy nasi zmylili jednak nieprzyjaciela. Zanurzyli się w wodę i w ten sposób zdołali się przesunąć w martwe pole. Na pięciu jeden był ranny, ale wszyscy wycofali się.

Żołnierze są jednak najlepszej myśli, zdaje się nawet, że są za pewni i nadto budują na tym, że Niemcy muszą uciekać. Wyczekiwanie drażni wszystkich i choć każde natarcie powoduje straty, jednak niecierpliwie czekają, kiedy ono nastąpi. Szkoda, że nie ma lotnictwa. Otuchy dodaje nam artyleria. Są już i 25-funtówki PAL-u i grzmią na zmianę do wieczora.

Może Niemcy w nocy uciekną a może będzie natarcie?

WŁADYSŁAW CHOMA

Lotnictwo amerykańskie w Chinach

Generał Claire Chennault

Autor tego artykułu jest jednym z wybitniejszych lotników polskich. Brał udział w Kampanii Wrześniowej, latając z lotniska w Dęblinie na sprzęcie szkolnym. W czasie "bitwy o Wielką Brytanię" w r. 1940 dowodził sławnym Dywizjonem 303, który w czasie tej bitwy osiągnął liczbę 126 zestrzeleń, do dzisiejszego dnia przeciągnął ją ponad 200. Ppłk. Urbanowicz z tej liczby na osobisty rachunek zapisał 15 samolotów niemieckich. Zdobywszy "Virtuti Militari", poczwórny "Krzyż Walecznych" i D.F.C. */Distinguished Flying Cross/* został zastępcą polskiego *attaché* lotniczego w Stanach Zjednoczonych. Stamtąd udał się jako ochotnik do Chin, gdzie od października do grudnia 1943 r. uczestniczył w walkach lotnictwa amerykańskiego. W czasie pobytu na froncie chińskim brał udział w wielu wyprawach, ostrzeliwał wojska nieprzyjacielskie z lotu koszącego, bombardował, osłaniał wyprawy bombowe. Większość działań polskiego lotnika przypadła na okres, w którym podtrzymanie z powietrza dla Chińczyków, naciskanych przez wojska japońskie w okolicach jeziora Tunking miała szczególne znaczenie. W czasie jednego z lotów, w drodze do bazy, zestrzelił dwa japońskie samoloty myśliwskie. Dowódca lotnictwa amerykańskiego udekorował ppłk. Urbanowicza *"Air Medal"*, stwierdzając, iż "dał on dowód odwagi i umiejętności walki w obliczu nieprzyjaciela, działania ppłk. Urbanowicza przynoszą chlubę zarówno jemu samemu, jak i Siłom Zbrojnym Polski i Stanów Zjednoczonych." */Throughout his combat service he displayed courage and fighting skill in the face of the enemy. His actions reflected credit on his personal record as well as that of the Polish and United States Armed Forces./* /Red./

"JASTRZĄB" — DOWÓDCA "TYGRYSÓW"

Lotnictwo amerykańskie w Chinach zorganizowane jest pod nazwą "Czternastego Lotnictwa U.S.A."; jego przedstawiciele są popularnie nazywani "Latającymi Tygrysami".

Dowódca "Tygrysów" gen. Claire Chennault jest bodaj jednym z najciekawszych lotników obecnej wojny. Liczy 65 lat, ale nie przeszkadza mu to wcale bić wszystkich dokoła w tenisie. Jest pełen życia i humoru. Lubi opowiadać o swojej rodzinie, która pozostała w Ameryce, z dumą stwierdza, że pięciu jego synów służy w wojsku. Szczupły, średniego wzrostu, z twarzą pooraną bruzdami, opaloną na bronz, w której osadzone są głęboko przenikliwe, ciemne oczy, robi wrażenie miłe, lecz jakby drapieżne. "Jastrzębiem" nazywają go koledzy i podwładni.

Syn plantatora bawełny w stanie Luizjana, do lotnictwa wstąpił w 1920 roku jako podporucznik. Podczas pokoju należał do czołowych asów myśliwskich, znany był wraz z dwoma innymi przyjaciółmi myśliwcami, jako *"Three men on a flying trapeze"*. Zwalczał tych lotników, którzy myśleli kategoriami z 1918 roku, był przyjacielem i współpracownikiem gen. Mitchelle. Władze rosyjskie zaproponowały Chennaultowi, ażeby wyjechał do Rosji jako doradca i instruktor myśliwski, ofiarując mu 10.000 dolarów rocznie, Chennault jednak odmówił.

W roku 1937 Chennault zostaje zwolniony z lotnictwa w stopniu kapitana i przeniesiony w stan spoczynku. Tego samego roku wyjeżdża do Szanghaju, gdzie zostaje doradcą lotniczym Chiang-Kai-Szeka. Organizuje grupę lotniczą, składającą się z ochotników amerykańskich pod nazwą A.V.G. */American Volunteer Group/*. Jako odznakę na samolotach mieli oni tygrysa, stąd ich nazwa, która utrzymała się do dziś.

Pracę ich można nazwać epopeą lotniczą. Wielu z nich zginęło, kilku zajmuje obecnie czołowe stanowiska w "Czternastym Lotnictwie". Są młodzi, lecz doświadczeni, 29-letni generał Vincent dowodzi grupą lotniczą wysuniętą we wschodnich Chinach, jego przyjaciel, trochę starszy od niego, płk. "Tex" Hill jest jego podwładnym.

LOTNICTWO ZAOPATRYWANE DROGĄ POWIETRZNĄ

W kilka miesięcy po wybuchu wojny pomiędzy Japonią i Ameryką, Chennault został powołany do lotnictwa amerykańskiego z powrotem, lecz już w stopniu generała. Przystąpił natychmiast do organizowania lotnictwa amerykańskiego na terenie Chin, obecnie nazywającego się "Czternastym Lotnictwem U.S.A.".

Ze sprzętem lotniczym było gorzej. Wszystkie porty w Chinach, oraz z takim mozołem wybudowana droga w poprzek Burmy, zostały okupowane przez wojska japońskie. Pozostała jedyna droga przez Himalaje, droga lotnicza, obfitująca w silne wiatry, burze i patrolujące japońskie samoloty myśliwskie. Gen. Chennault i jego lotnictwo mają najdłuższą na świecie drogę zaopatrzenia w sprzęt: wynosi ona 16.000 mil angielskich.

W lecie 1942 roku była taka sytuacja, że gen. Chennault w niektórych miesiącach letnich rozporządzał zaledwie pięcioma samolotami bombowymi i nie więcej, niż dwudziestoma samolotami myśliwskimi; przez kilkanaście miesięcy ogólna suma samolotów nie przekraczała osiemdziesięciu. W ostatnim roku "Czternaste Lotnictwo" rozbudowało się znacznie, obecnie gen. Chennault rozporządza znaczną ilością samolotów bombowych i myśliwskich, oraz siecią lotnisk rozrzuconych po całych Chinach.

Lotniska w Chinach budowane są przez tysiące Chińczyków, jedynym ich narzędziem przy tej pracy jest motyka i taczki. Pasy do startu i lądowania buduje się z tłuczonego kamienia, przywiezionego z pobliskich gór na taczkach. Potłuczony i ułożony kamień polewa się gliną mieszaną z wodą, następnie waluje się cementowym wałem, ciągnionym całymi dniami przez kilkuset Chińczyków.

Pomimo znacznej rozbudowy "Czternastego Lotnictwa", o ofensywie powietrznej na szerszą skalę mowy być nie może, bowiem jest to uzależnione od zaopatrzenia. Transport bombowców do Chin nie jest trudny; mogą same przelecieć etapami z Ameryki do Chin. Samoloty myśliwskie dostarcza się morzem do portów indyjskich, a dalej powietrzem przez Himalaje. Gorzej natomiast przedstawia się rzecz z paliwem, bombami, amunicją do karabinów maszynowych, pociskami dla artylerii przeciwlotniczej, częściami zamiennymi do samolotów i t.d. A lotnictwo bombowe n.p. składające się z czterystu samolotów ciężkich, działające intensywnie zużywa miesięcznie około 70.000 ton paliwa, bomb i amunicji. Sto samolotów myśliwskich jednosilnikowych konsumuje około 5.000 ton. Całe to zaopatrzenie idzie drogą powietrzną.

Droga Burmeńska nie rozwiązałaby również, tego zagadnienia. Jej zdolność przelotowa wynosiła zaledwie 7.000 ton miesięcznie. Kłopot z nią jest tym większy, że samochody pożerają dużo benzyny: przy powrotnej drodze n.p. dwa tysiące samochodów zużywa około 1.000 ton paliwa miesięcznie, co w rezultacie daje o tyle ton mniej ładunku. Będąca w budowie droga z Indyj do Chin /Sadiya — Chungking/ jest dość długa; konwój samochodowy w obydwie strony idzie dwa tygodnie, samolot zaś tę samą drogę przeleci w tym samym czasie 28 razy.

W obecnych więc warunkach łatwiej jest transportować paliwo powietrzem. Benzyna może być dostarczana z Zatoki Perskiej. 20 transportowców powietrznych o pojemności 3 ton każdy, może zaopatrzyć 2 bombowce dwusilnikowe na 4 godziny lotu bojowego lub 4 samoloty myśliwskie jednosilnikowe, przyjmując jako spożycie paliwa — 80 galonów na godzinę. Obecnie w Indiach jest zorganizowany amerykański transport powietrzny, którego zadaniem jest zaopatrywanie "Czternastego Lotnictwa" — w paliwo, bomby, amunicję, ekwipunek, żywność i t.d.

Na podstawie raportu Prezydenta Roosevelta do Kongresu z dnia 11.III.1943 r., ogólny rachunek *Lend-Lease* w materiale dla Aliantów w ostatnich dwóch latach wynosił $7.831.000.000, z czego Chiny otrzymały $158.000.000 /o $17.000.000 więcej niż Nowa Zelandia/. Prawie 50% z tego materiału leżało w Indiach w oczekiwaniu na transport, co w klimacie tropikalnym pociągało za sobą psucie się większości materiału.

Chiny mają wprawdzie kilka fabryk płatowców i silników z odpowiednio przygotowanymi inżynierami, lecz brak materiałów nie pozwala na produkcję samolotów. Istnieje też doświadczalne laboratorium lotnicze, w którym inżynierowie pracują nad surogatami materiałów, Chiny bowiem nie mogą zaopatrywać się w nie z zewnątrz. Uprzednio udało się wyprodukować niektóre, jak n.p. plastyki, lecz w minimalnej ilości.

Problem zaopatrzenia lotnictwa amerykańskiego i chińskiego może być rozwiązany na większą skalę tylko przez odbicie portów francuskich w Indo-Chinach oraz w Hong-Kongu i Kantonie.

ROLA "CZTERNASTEGO LOTNICTWA U.S.A."W CHINACH

"Czternaste Lotnictwo U.S.A." w Chinach ma za zadanie: bombardowanie japońskich punktów strategicznych, bombardowanie transportów morskich, płynących z Japonii na południowy Pacyfik, do francuskich Indo-Chin i Burmy, osłonę punktów czułych w nieokupowanych Chinach przed lotnictwem japońskim i współpracę z armią chińską w walkach. Osiągnięcia "Czternastego Lotnictwa" są duże, dzięki doskonałej taktyce gen. Chennault, wyższości personelu i sprzętu amerykańskiego nad japońskim.

Dnia 25 listopada 1943 roku "Czternaste Lotnictwo" zaatakowało lotnisko Shingchiku na Formozie na Pacyfiku. W rezultacie tego ataku zniszczono 50 samolotów japońskich na ziemi i w powietrzu, bez straty nawet jednego samolotu własnego.

O bombardowaniu Tokio na większą skalę nie można jeszcze mówić z wielu względów. Jedną z przyczyn jest duża odległość baz w Chinach nieokupowanych od Tokio /najkrótsza odległość w prostej linii wynosi 1.300 mil w jedną stronę/. Gdyby nawet były bombowce o takim zasięgu, to nie mogą być w tej chwili wysyłane w większej ilości z braku zaopatrzenia w paliwo, mniejszych zaś wypraw nie można puszczać ze względu na niebezpieczeństwo ze strony myśliwców japońskich, przy czym dla własnych myśliwców odległość jest również za duża. Należy uchwycić przewagę powietrzną taką, jaka w tej chwili jest na froncie europejskim, a wówczas serce Japonii — Tokio i japońskie ośrodki przemysłowe mogą być bombardowane codziennie.

Na ile można zorientować się w tej chwili, Japończycy przypuszczają, że może to nastąpić niedługo, to też gwałtownie pchają się na południo-zachód od Szanghaju, ażeby w ten sposób oddalić jeszcze bardziej bazy lotnicze od Tokio.

WARUNKI PRACY LOTNIKÓW AMERYKAŃSKICH W CHINACH

Warunki życia i pracy lotników w Chinach są odmienne, niż na innych frontach. Dotyczy to przede wszystkim samych warunków lotu: teren jest górzysty i niemal zupełnie podobny w każdej części Chin. Brak większych miast, kolei i dróg kołowych pozbawia pilota punktów orientacyjnych, wskutek czego bardzo łatwo się zgubić. Trzeba latać na przyrządach. Nawigację utrudniają nadto silne i zmienne wiatry, poza tym pogoda jest dość zmienna i nieraz po powrocie z lotu bojowego, lotnik zastaje własne lotnisko całe pokryte chmurami i musi pamiętać, że dokoła są wysokie i zdradliwe skały.

Piękno chińskich gór oceniłem dopiero przed odlotem do Indyj — po ukończeniu lotów bojowych. Przedtem nienawidziłem wystających nad chmury szczytów granitowych. Prawie całe nieokupowane Chiny pokryte są wysokimi górami lub puszczami. Nie jest to wcale zachętą dla pilota, gdy musi wyskoczyć ze spadochronem w wypadku defektu silnika lub zestrzelenia: może on całymi miesiącami maszerować przez puszcze nie napotykając żadnej osady. Każdy z personelu latającego ma przyszytą na plecach kombinezonu jedwabną szmatę wielkości chusteczki do nosa z wyrysowanym godłem chińskim i instrukcjami dla Chińczyków — co mają zrobić z takim podróżnikiem w puszczy.

Jest też masa chorób, które zagrażają pilotowi — przede wszystkim dezynteria i malaria. Byli pośród pilotów tacy, którzy po wyskoczeniu podczas podróżowania po puszczy chorowali po dwa razy na dezyntérię lub nabawili się malarii.

Nieodzownym towarzyszem pilota jest pistolet i nóż. W razie przymusowego lądowania może mu się przydać tak jedno, jak i drugie — do obrony przed dzikimi zwierzętami lub bandytami, a także do upolowania lub zdobycia sobie pożywienia. Szczęśliwy ten, który natrafi na większą rzekę; łatwo wówczas o ryby i można na zbudowanej tratwie dopłynąć do jakiejś chińskiej osady.

Jeśli chodzi o samych Amerykanów, to wnieśli oni do Chin coś nowego, czego nie ma u Chińczyków, mianowicie rozmach i kulturę techniczną. W osobliwych okolicznościach jedna z najstarszych kultur zetknęła się z najmłodszą. Chińczyka na ogół trudno jest przekonać o potrzebie techniki. Szczególnie starsze pokolenie jest pod tym względem bardzo oporne, młodsze o wiele łatwiej przyjmuje zachodnie zwyczaje i wprawdzie nie tak starą, ale nowoczesną kulturę.

Chińczycy szybko uczą się języka angielskiego, zwłaszcza dzieci. Komitywa pomiędzy Chińczykami a Amerykanami jest doskonała. Amerykanie lubią Chińczyków i ich kuchnię, a ci znowu Amerykanów i ich dolary. Chińczyk jest pogodnego ducha na swój tajemniczy sposób, a Amerykanin — także na swój sposób — mniej tajemniczy i otwarty.

I tak samo czuje się Amerykanin w rikszy, jak Chińczyk ciągnąc rikszę. Przedstawiciele starej kultury i nowoczesnej kultury żyją ze sobą w wielkiej wzajemnej sympatii.

WITOLD A. URBANOWICZ

Budowanie lotniska w Chinach

"Tygrys" na lotnisku chińskim

Bez blackoutu

W jednym z lipcowych numerów "Polski Walczącej" zamieściłem listy p. Marii z Indii i kaprala L. z Włoch, prosząc o pomoc w dostarczeniu pism, książek i nut dla moich miłych korespondentów. Żałuję, że p. Maria i kapral A.L. nie mogli być ze mną tam, gdzie, przed kilkoma dniami w pewnej Dywizji, a właściwie bardzo pewnej Dywizji i w bardzo celnej artylerii ofiarowano mi dla nich właśnie, dla spragnionych polskiej książki rodaków na obcych ziemiach, całą biblioteczkę pułkową /2 p. art. mot./ uskładaną z własnych żołnierskich oszczędności i darów koleżeńskich.

Powiedzieli mi przy tym bardzo szczerze: "Nam już to niepotrzebne, gdyż sami idziemy pisać nową książkę . . . Niech więc nasza biblioteczka skróci komuś tęsknotę na cudzej ziemi, niech służy kolegom naszym artylerzystom we Włoszech, którzy znajdą się na chwilowym, dobrze zasłużonym odpoczynku pozafrontowym. Niech pan pośle te książeczki do Indii czy do Afryki Wschodniej, gdzie pan uzna za stosowne, niech p. Maria uwierzy, że bajki się nie kończą, a właściwie, że to nie bajki, ale mocna, żywa prawda".

Prawda ta jest rzeczywiście bardzo żywa: istnieje trwała łączność między nami; wprawdzie wadzimy się czasem między sobą, ale jeszcze lepiej umiemy, gdy trzeba, wesprzeć się na wzajem. Dlatego patrząc z radością na tę sporą pakę książek i odpowiadając naszym artylerzystom, powiedziałem, że życzę im, by ta księga, którą pójdą pisać, była równie piękna, wzniosła i wielka, jak wielka jest łączność pomiędzy Polakami, rozsianymi po całym świecie w tej wojnie.

Przeglądając biblioteczkę znalazłem na jednym z tomów wklejoną kartkę z takim wstępem pióra artylerzystów, którzy widocznie bardzo dbali o swój księgozbiór:

"Szanowny Panie Czytelniku. Jestem stara, zewnętrznie brzydka, życiem sterana. Wiele nieostrożnych rąk sponiewierało mnie. Służyłam długie lata setkom innych Czytelników. Przybyłam tu zza Oceanu; mimo licznych zmarszczek i podeszłego wieku pragnę wytrwale służyć. Chcę żyć, bom do życia zdolna. Nie rzucaj mną, bo się w strzępy rozlecę i nikt mnie już nie pozbiera . . ."

Chciałbym jakimś wstępem opatrzyć także książkę, którą może niedługo Wy pójdziecie pisać, Koledzy pewnej Dywizji, pewnego Pułku Artylerii. To powinno chyba w obecnych warunkach brzmieć mniej więcej tak:

"Jestem młoda — niezapisana. Na wszystko gotowa, doświadczona i uzbrojona. Wiele nieostrożnych ludzi próbowało i nadal próbuje mną poniewierać, odebrać mi cel istnienia, cel walki, zachwiać wiarę w powrót do kraju rodzinnego, takiego, jaki był. Ale moja wiara jest niezłomna. Poprzedniczki moje, księgi historii pułkowych, krwią splamione w Polsce, we Francji, Norwegii, Tobruku dziś zapisują nowe, zwycięskie karty na ziemi włoskiej pod Monte Cassino, Piedimonte, Loretto, Castelfidardo, Osimo i Ankoną mimo chmur obcego kłamstwa, mimo intryg wrogiej przemocy. Wiem, że jedyna odpowiedź na nie: iść naprzód! I dlatego z głęboką wiarą otwieram moją pierwszą kartę, która już jutro może będzie zapisana . . . Nie wytrącą mnie z równowagi nieznani ofiarodawcy, którzy na falach radia moskiewskiego wspaniałomyślnie darowali Polakom . . . Pomorze i Śląsk i obiecali nawet Prusy Wschodnie, nie potarga moich kart burza od Wschodu, która za jednym podmuchem zmienia Wilno na "Vilnius", a Lwów na stolicę . . . Zachodniej Ukrainy. Trudno w tej zawierusze kłamstwa, w okresie tylu poniewierań praw narodu — otwierać nową księgę. Wiem o tym. W chwili, gdy Polska wydaje się tak daleka, a droga do niej tak bardzo trudna, z jeszcze większą wiarą wpiszcie na mojej pierwszej karcie słowa: Bóg, Honor i Ojczyzna".

Podpis? Chyba: Książka, którą idziemy pisać. Myślę, że w tym wstępie do niezapisanej księgi mieści się garść myśli polskiego żołnierza, który w obecnej właśnie chwili zasługuje na największe uznanie i miłość całego narodu. Napewno nie wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego stanu rzeczy, my, którym tak swobodnie i lekkomyślnie wolno "załamywać się", "czarno oceniać sytuację", "wpadać w handrę", bawić się w proroctwa i wróżby. Żołnierz walczy lub czeka na rozkaz walki. Pod Ankoną bije się Kresowa dywizja o Tarnopol, pod brzegiem Normandii "Błyskawica", "Krakowiak" i "Piorun" walczą o Gdynię, nad Francją i Niemcami toczą w powietrzu walki nasi lotnicy o Lwów i Wilno. Żołnierz polski, który pójdzie stąd na front zachodni, pójdzie z pełną wiarą w to, że pod Paryżem wywalczać będzie polski Wołyń, a pod Brukselą nasze Podole. Dlatego po raz pierwszy nie stanęliśmy na baczność, gdy grała nasz hymn narodowy radiostacja sowiecka z okazji zdobycia "pierwszego" miasta polskiego, którym wedle opinii Moskwy jest . . . Chełm. Nie Chełm — panowie politycy — lecz Monte Cassino, nie Lublin lecz Piedimonte, nie Lwów lecz Ankona!

Brytyjczycy może nie bardzo rozumieją dramat narodu polskiego, który rozgrywa się obecnie na całym świecie, ale stale okazują żołnierzowi polskiemu dużo serca i przyjaźni. Tak było i na nowych miejscach postoju pewnej Dywizji w pewnej części wyspy brytyjskiej. Ze starych miejsc postoju przybywały całe wycieczki przyjaciół, znajomych, przyjeżdżały żony i narzeczone żołnierzy polskich. Patrząc na te żywotne objawy przyjaźni polsko-brytyjskiej, wyrosłej w ciągu czterech lat, przestawało się wątpić w jej stałość. Prasa miejscowa okazała duże zainteresowanie życiem naszych żołnierzy. Podaję kilka wyjątków w przekładzie polskim dla tych nowych kolegów, którzy niedawno przybyli do Wielkiej Brytanii.

". . . Gdyby każdy żołnierz polski w X. mógł opowiedzieć swoje przeżycia, cóż za ciekawe opowieści moglibyśmy usłyszeć: o braciach i matkach, zagnanych do obozów koncentracyjnych, o żonie czy siostrze zabitej, o spalonych, zbombardowanych miastach i osiedlach, o głodnych dzieciach na zrujnowanych ulicach miast, o przedziwnych przeprawach przez Jugosławię, Rumunię, Włochy i Francję, o niepoliczonych trudach, o latach gorzkiej bezdomności, o tęsknocie, o obawie, że oto znowu wojna przewala się przez Polskę, że może po zwycięstwie, gdy kraj znowu ukaże się ich oczom, nie znajdą w nim wielu rzeczy bezcennych, zniszczonych, sponiewieranych przez niemiecką brutalność.

Tacy są ludzie, którzy uśmiechają się do was w Anglii".

". . . Gdy myślę o tragedii tego kraju wtłoczonego między Niemcy i Rosję, kiedy próbuję uzmysłowić sobie choć w pewnej części, co przeszli i przetrwali ci ludzie, czuję, że nie mogę dość często dziękować Bogu, że te nasze okolice — ze wszystkimi ich ruinami i zniszczeniem od bombardowania tak mało przecierpiały . . ."

". . . Kiedy ci żołnierze nas opuszczą, mogą się oni stać ambasadorami, którzy do swoich ognisk rodzinnych przyniosą wiadomość, że w X . . . znaleźli gorące serca i chętne do pomocy dłonie, że znaleźli ludzi, którzy ich zrozumieli i okazali im życzliwość . . ."

Z dawnych miejsc postoju Dywizji, jeżeli ktoś z przyjaciół brytyjskich przyjechać nie mógł, przysyłał takie oto listy:

". . . Janette had a few lines from Zygmunt to-day, and I walked down to the street with your friend Mrs. K. to-night. She has had a letter from Kostek . . ."

/"Janette otrzymała kilka słów od Zygmunta a ja spotkałam dzisiaj wieczorem, idąc ulicą, twoją znajomą p. K., która otrzymała list od Kostka"./

"We have no more troops so far, but we still feel cheered when we see a little bit of eagles and 'Pl' on the motors. We feel it is something which belongs to us . . ."

/". . . Jak dotychczas nie ma u nas żołnierzy, ale zawsze radujemy się, gdy zobaczymy orzełka lub znak "Pl" na pojazdach. Zdaje się nam, że to coś, co jest naszą własnością . . ."/

". . . There are many people in H. being sad now, and when you are away we may hear nice things which make us feel happy . . ."

/"Jest teraz w X. dużo smutnych ludzi, ale teraz gdy odjechaliście od nas, możemy się nasłuchać wiele rzeczy miłych o was . . ."/

". . . I will write you often, but I will not expect replies except when you have time. Anyway, I do not suppose you will have very much time to write about us, there is so little you can say about what you are doing. We will know that you are always thinking about us. I think silent thought is a beautiful thing.

H. still remains sad and lonely without our Polish boys, and it will be so for a long time to come, I am sure . . ."

/". . . Będę często pisać do ciebie, choć nie liczę na odpowiedź, chyba, że znajdziesz czas. W każdym razie nie sądzę, że będziesz go miał wiele na pisanie, zwłaszcza, że tak mało możesz powiedzieć o tym co teraz robicie. My wiemy, że stale myślisz o nas i zdaje mi się, że to piękna rzecz taka pamięć bez słów. H . . . jest ciągle smutne i opustoszałe bez naszych polskich chłopców i jestem pewny, że jeszcze długo tak będzie . . ."/

Mimo chwilowych, epizodycznych sporów "ideologicznych" wśród przyjaciół, mimo prób obcej propagandy, zmierzającej do zachwiania tych wzajemnych sympatii, na pewno jest już za późno na zniszczenie tego, co rosło od roku 1940.

Paradoksalny wyda się może fakt, że żołnierze polscy w Szkocji po dziś dzień, szczególnie w małych miasteczkach górniczych cieszą się niezachwianą sympatią t.zw. komunistów brytyjskich, którzy w wielu wypadkach okazują Polakom zrozumienie. Myślę, że każdy z tych górników czy robotników jest w takim samym stopniu komunistą w jakim Wilno jest "radzieckim" Vilniusem.

WIKTOR BUDZYŃSKI

P.S. Z podziękowaniem potwierdzam odbiór biblioteczki złożonej z 60 tomów książek polskich, 20 tomów podręczników angielskich oraz 50 różnych powieści i broszur angielskich, ofiarowanych przez żołnierzy 2 pułku artylerii motorowej w związku z apelem w nr. 27 "Polski Walczącej".

Potwierdzam odbiór nut, nadesłanych przez p. majora E.D. dla p. Marii, oraz kilka bezimiennych przesyłek z czasopismami. Dziękuję.

"Ślepograty" warczą nad Londynem

POD OSTRZAŁEM

Londyn jest zapewne miastem co miało najwięcej alarmów na świecie.

—O której godzinie wy tu chodzicie spać do schronu? — zapytał pewien mały Londyńczyk ewakuowany do Szkocji.

—My wcale nie śpimy w schronie.

—O o o o? To tu alarmy bywają tylko w dzień?

—Tu w ogóle nie ma alarmów!

—Nadzwyczajne! Ale wy wiecie chyba, że jest wojna . . .

Radio niemieckie trąbiło, że "Londyńczycy chodzą stale z poduszkami na głowach, by się chronić od spadających szyb i cegieł".

Oczywiście to już Goebbelsowa wiadomość. Ale, że strach ma wielkie uszy — to prawda. I że na dźwięk pędzącego motocykla ten i ów odsunie się od okna — to bywa. I że w nocy, gdy przejedzie amerykańska ciężarówka, ludzie się budzą gwałtownie — to fakt. Za oberwanie gzymsem po łbie nie dostaje się medalu. Więc po co sterczeć jak baran, gdy "ślepograt" dudni tuż-tuż?

—Mam zawsze ołówek na podłodze — zwierzał mi się pewien pułkownik — i gdy słyszę to paskudztwo nad samym biurem — daję nurka pod stół. Jeśli kto wejdzie, to powiem, że szukam ołówka . . .

Nie możemy tu w Anglii uprzytomnić sobie życia ludzi w Europie pod jarzmem niemieckim. Albo widzimy je zbyt okropnie, albo zanadto sielankowo. Tak samo drażni Londyńczyków, gdy ci co nie zaznali "ślepogratów", mówią im:

—Ależ to potworne! Jesteście jak ścigana zwierzyna! — lub:

—E e e e, taki drobiazg . . . jest też o czym gędzić . . .

Potwornego nic nie ma. Ale wracając do domu ma się zawsze niespokojną ciekawość, czy też on tam aby jeszcze stoi? I parę razy dziennie, gdy zbliża się antypatyczny szum *"buzz-bomby"*, przemyka myśl:

—Czy to aby nie ta, co przeznaczona dla mnie?

Otrzaskanie? Tak, zapewne, a jednak ilekroć latająca bomba gdzieś gruchnie, wnet zbiera się tłum gapiów.

—Rozejść się — woła policjant wokół świeżej kupy gruzów — rozejść się! Nic tu już nie ma do zobaczenia!

—U a a a, nic nie ma do zobaczenia teraz — odpowiada stary człowiek — ale te rumowiska, to był przed chwilą mój dom!

Widzi się śmigające nad dachami paskudztwo i nie można się powstrzymać od refleksji:

—Ominęło mnie . . . ale gdzieś jednak spadnie . . . coś zawali . . . kogoś zabije . . .

Więc gdy zawyją syreny, nawet dziewczyny, uwieszone u ramion żołnierzy, są dziś w Londynie mniej beztrosko wesołe niż dawniej.

ANGIELSKA ZIMNA KREW

U Polaków ulicznik bywa bohaterski, a dygnitarz tchórzliwy, czy też na odwrót. To zależy tylko od usposobienia. Dlatego też nie jesteśmy chyba narodem militarnym.

U Anglików każdy jest odważny, gdy tego wymaga sytuacja. Dlatego jest to naród wspaniale prowadzący wojnę.

Podczas wyścigów psów rozlega się alarm. Megafon stadionu zapowiada: *"Danger overhead"* /niebezpieczeństwo tuż nad głową/. Publiczność biegnie, chowając się pod żelazobetonowe trybuny, włazi do bufetu . . .

Ale dziewczęta dalej oprowadzają psy, bookmakerzy dalej sterczą nieporuszenie na swych zydlach i wykrzykują wypłaty. Ani drgną! Ani spojrzą w górę! Bo uważają, że w danej chwili są na służbie!

Dziewczyna, która się bardzo boi i leci pierwsza do schronu, w momencie gdy pełni służbę konduktorki autobusowej, czy regulującej ruch na peronie kolejowym — jest niewzruszona. Bomba może jej zawadzić o kołnierz — ona nie zejdzie z posterunku. Tak samo kasjer nie uskoczy ze swej klitki, choćby "ślepograt" pchał się do okienka. Nawet sprzedawca gazet nie odsunie się od narożnika, gdy ma plik dzienników pod pachą. Na służbie, skoro pełni funkcję publiczną — choćby najbłahszą — każdy Anglik jest odważny.

Odbywa się wiec w wielkim hallu. Mówca gada i gada, lecz słychać wyraźnie szum nadlatującego "ślepograta". Gdy warkot jest już zbyt złowieszczy, prelegent woła:

—Wszyscy pod krzesła, proszę!

A sam z trybuny trajkocze dalej. Jemu jednemu w tej chwili bać się nie wolno, bo on p r z e m a w i a. Więc się nie boi. Skoro będzie mówił kto inny i nadciągnie inny bezpilotowy samolot — pierwszy wtuli się pod fotel.

POGODNI MIMO WSZYSTKO

Humor nie opuszcza Anglików. Na ruinach swego sklepiku tytoniowego, właściciel przypina kartkę z napisem:

"Teraz to już naprawdę nie mamy zapałek".

A pokrwawiona rodzina, opuszczając to, co było jej domem i ulicą, nuci fałszywie:

"There'll always be a Southern England . . ."

Ktoś miał szyby wymiecione *buzz-bombą*, więc poszedł do magistratu domagać się odszkodowania. Wręczając mu formularz, urzędnik oświadczył:

—I niech się pan zbytnio nie śpieszy z wypełnianiem, bo może pan w międzyczasie załapie więcej bomb . . . A trzeba oszczędzać papieru!

Z masy dowcipów, krążących o "ślepogratach", najniewinniejszy jest ten:

—Latająca bomba jest dziewicą!

—Dlaczego?

—Bo nigdy nie było na niej żadnego mężczyzny.

DUMA LONDYNU

W ciągu pierwszego tygodnia inwazji zginęło mniej Brytyjczyków w Normandii, niż w ciągu pierwszych dwóch tygodni od "ślepogratów" w Anglii!

—Ilekroć widzę to paskudztwo — mówi stary emeryt — to się cieszę, że głupi Niemcy wolą bombardować Londyn, niż nasze wojsko w Normandii.

No tak . . . Głupie Szwaby istotnie zarzuciły produkcję samolotów na rzecz produkcji "ślepogratów". Londyn obrywa bomby, ale za to *Wehrmacht* ma *Waffe* do *Luftu*.

Wydmuchana z mieszkania Londynianka stwierdza:

—W porządku! Mam sześciu synów w wojsku, toteż rozumiem złość Hitlera na mnie. Jestem widocznie dla niego obiektem wojskowym!

"Ślepograt" wpadł do Tamizy. Dwadzieścia siedem kaczek zostało zabitych, inne w przerażeniu uciekły. Ale miejscowe łabędzie ani drgnęły. Szwędają się dalej, gimnastykując sobie szyje. Uradowani tubylcy mówią:

—Rozumne ptaki wiedzą, że są królewskie. Im nie wypada się bać tego hitlerowskiego łajna . . . /Jak wiadomo, wszystkie łabędzie na Tamizie należą do króla/.

Minister aprowizacji, J. Llewellin, oświadczył niedawno:

—Wielki skład konserw był trafiony latającą bombą. Mięso ostało się wybornie. Nie narzekajcie więc, że mięso z naszych puszek jest twarde, bo już za was narzekają na to Niemcy!

OLIMPIJSKI SPOKÓJ

—Tak się boję o ciebie! — mówi żona do męża, wyjeżdżając z Londynu.

—Nie martw się, kochanie; jeśli się coś złego stanie, zaraz zatelefonuję do ciebie! — uspokaja ją dobry mąż.

Przed sklepem z pomidorami stoi ogonek, aż tu nadlatuje "ślepograt". Tak furczy i warczy, że wszyscy padają plackiem. Przeszedł . . .! Wszyscy się podnoszą, otrzepują, stają znowu . . . Ktoś nieśmiało protestuje:

—Przepraszam! Zdaje się, że ja stałem przed panem . . .

Tylko jedna kobieta szlocha i stęka. Sklepikarz wynosi jej funt pomidorów i mówi:

—Niech pani bierze i zmyka do domu. To nie na pani nerwy!

Została obsłużona poza kolejką, lecz nikt nie protestuje. Zdrowy instynkt podszepnął wszystkim, że właśnie tak należało postąpić.

Towarzystwo Obrony psów wydało odezwę, w której głosi:

"Moc szkła zaściela codziennie ulice. Psy biegają, wbijają sobie szkło w łapy i cierpią potem okrutnie. Dobrzy ludzie — zamiatajcie skrzętnie ulice i po każdym spacerze oglądnijcie łapy swych psów!"

Ogólnym hasłem jest:

"Pracujcie dalej, lecz strońcie od szyb!"

Czyściciele okien są w kłopocie. Bo niby dla nich — to jedno, albo drugie.

TO NIE ZAWAŻY . . .

Nie można powiedzieć, by "ślepograty" były popularne wśród Londyńczyków. Wiele osób nawet zapewnia:

—Wolę te staromodne samoloty, z człowiekiem wewnątrz . . .

Ale trzeba było iście szwabskiej tępoty psychologicznej, by przypuszczać, że złamią Anglików tą brzęczącą szykaną. Alarmy trwają, bomby padają, ściele się gruz — a Londyńczycy robią swoje. Nigdzie śladu zamieszania, ani paniki.

I może wypowiada ogólny pogląd stary Anglik, co mruczy:

—Cały pech w tym, że gdy się nareszcie przyzwyczaimy do tych latających pluskiew, to akurat wojna się skończy . . .

KAROL ZBYSZEWSKI

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 4376 książek

Dla Polaków w Rosji: £11,031

Szanowny Panie Redaktorze,
W załączeniu przesyłam czek na sumę £12.3.6 /słownie: dwanaście funtów, 3/6/ na Midland Bank dla P.C.K. na pomoc dla Polaków w Rosji, zebraną podczas wystawy fotograficznej "Through Polish Eyes" w Rugby. Wystawa ta była 27-ą z rzędu.
Z poważaniem
Paweł Miller

* * *

Przy niniejszym "Postal Order" na sumę sh.10 jako ofiara na pomoc dzieciom polskim w Rosji.
Por. Wincenty Ś.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",
W załączeniu przesyłam M.O. na kwotę £4 sh.12 złożoną przez żołnierzy . . . dyonu z dobrowolnych składek dekadowych w miesiącu lipcu r.b. z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Rosji.
Dowódca Dyonu
major M.K.

Redakcja "Polski Walczącej",
Przesyłam 10 szylingów, a to 5 szylingów na paczki od serca i 5 szylingów dla Polaków w Rosji.
Zawadzki Roman

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £17.10.6 /słownie: siedemnaście funtów, dziesięć szylingów, 6d./ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £11,031.18.5 /słownie: jedenaście tysięcy trzydzieści jeden funtów, osiemnaście szylingów, 5d./, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

NA TABLICĘ PAMIĄTKOWĄ MATKI BOSKIEJ WESTMINSTERSKIEJ

Redakcja "Polski Walczącej",
W załączeniu przesyłam Postal Order na £2.2.0 /słownie: dwa funty i dwa szylingi/ zebrane przez oficerów, podchorążych, podoficerów i marynarzy Obozu Szkolnego Marynarki Wojennej na tablicę pamiątkową Matki Boskiej Westminsterskiej.
Komisarz Obozu Szkolnego
Mar. Woj.
por. mar. L.K.

NA DAR NARODOWY

Przesyłam kwotę £9.7.2 zebraną wsród pacjentów i personelu szpitala na "Dar 3 Maja".
Z poważaniem
Adm. Szpit. A. Imielski

Poszukuję TERESY ŻYNIEWICZ z Poznańskiego. Ostatni znany adres w Krakowie. Wszelkie informacje kierować do Redakcji "Polski Walczącej".

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

"Polska Walcząca",
Please accept this small donation of £1 for the Polish Children Rescue Fund /in Russia/.
Yours faithfully,
Kirsteen B.

W roku bieżącym za pośrednictwem "Polski Walczącej" zebrano na ten cel £545.10.4 /słownie: pięćset czterdzieści pięć funtów, dziesięć szylingów, 4d./.

NA SZPITAL IM. GEN. SIKORSKIEGO

Szanowny Panie Redaktorze,
W załączeniu przesyłamy czek na kwotę £6.10.0 /słownie: sześć £, dziesięć sh./. Niniejszą sumę zebraną wśród Junaków, prosimy przekazać na fundusz szpitala dla dzieci im. Gen. Sikorskiego.
Łączymy serdeczne pozdrowienia.
Junacy Gimnazjum Technicznego N.2. Szkoły Lotniczej dla Małoletnich w Halton

Zbiórka książek

Szanowna Redakcjo,
Przesyłam w załączeniu na dowolny cel następujące książki: Eckersley: "Essential English", Chambers: "Etymological Dictionary".
Z poważaniem
Żralski J.

* * *

Bezimiennie przesłano dla Polaków na Wschodzie 15 broszur polskich i angielskich.

* * *

P. S. Januszewski przesłał: W. Dłużewski: "Droga do Polski", J. Pietrkiewicz: "Znaki na niebie", "Słownik angielsko-polski", "Linguaphone, English Course", "Basic English", M. Hemar: "Dwie Ziemie Święte", "Touring London", "Kraj lat dziecinnych", T. Lubicz: "Drugi front", A. Bogusławski: "Polna kochanka", B. Leitgeber: "Londyn", J. Pietrkiewicz: "Po chłopsku", S. W. Piwar: "Praktyczna metoda języka angielskiego", "Poland After One Year of War", "Polish Self-Taught", "Everyday English for Foreign Students"

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej",
Przesłana w dniu dzisiejszym paczka książek stanowi całość biblioteki Baterii Sztabowej A.D. do użytku wg. uznania.
Z poważaniem
B. Chudzik

ZJAZD KOLEJARZY POLSKICH W W. BRYTANII

Odbędzie się w dniu 14 sierpnia b.r. w sali North British Hotel w Edynburgu /dworzec kolejowy L.N.E.R./. Szczegółowy program zostanie rozesłany. Pan Minister Obrony Narodowej zezwolił żołnierzom Polskich Sił Zbrojnych na wzięcie udziału w Zjeździe. Wszelkich informacji w sprawach Zjazdu udzielają: *w Londynie* — Kol. W. Więcek, 54, Sloane Street, S.W.1. Tel. SLOane 4119; *w Edynburgu* — Kol. A. Wyleżyński, 30, Rutland Square, I piętro, Tel. Edynburg 25127. W dniu 13 i 14 sierpnia b.r. Komitet Zjazdowy urzęduje bez przerwy w Edynburgu, 30, Rutland Square, I piętro.

Na "paczki od serca": £3,622

Pan Redaktor "Polski Walczącej",
W załączeniu przesyłam Postal Order na kwotę £2.9.0 złożoną przez oficerów i podoficerów Komp. Szkolnej C.O.W.Szturm, na "paczki od serca" dla jeńców polskich w Niemczech.
Oficer Opieki
B.P.

* * *

Przesyłam Money Order nr. A.R. 5826 na kwotę £1.10.0 z przeznaczeniem na "paczki od serca".
Z poważaniem
Por. H. Balc.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,
W załączeniu przesyłam £1 na paczki od serca dla jeńców.
Por. T. Brosz.

* * *

Proszę uprzejmie WPanów o wpłacenie załączonej kwoty £1.16.0 na "Paczki od serca" dla jeńców polskich w Niemczech. Suma powyższa została zebrana przez Pluton Rozpoznawczy . . . Batalionu Strzelców . . . Dyw. Panc.
Dziękuję
Pchr. W. Lam.

* * *

"Polska Walcząca",
Żegnając odchodzącego na inne stanowisko ppłk. dypl. A.R. — oficerowie Biura Ogólno-Organizacyjnego M.O.N. złożyli sumę £3 na "Paczki od serca".
Czek na powyższą sumę w załączeniu przesyłam.
Adiutantura Szefa Biura
Og. Org. M.O.N.
Ppor. B.P.

Podoficerowie Dyw. Komp. Zaopatrz. 1.D.P. przesyłają M.O. nr. S.36658 na kwotę £5.1.6 z przeznaczeniem powyższej kwoty na "Paczki od Serca" dla jeńców w Niemczech.
Z poważaniem
za podofic. Dyw. Komp. Zaopatrz.
W. Busz. st. sierż.

* * *

Zamiast "drinka" dla kolegów w chwili odejścia £1 na paczki od serca.
Ppor. int. K.Z.

* * *

Przesyłam money order nr. A.R. 5836 na kwotę £3.15.0 z przeznaczeniem na "paczki od serca" od Kasyna Oficerskiego Nr. 2 . . . Dyw. Pancernej.
Z poważaniem
Por. H. Balc.

* * *

Sh.5 na paczkę od serca.
Roman Zawadzki

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £19.16.6 /słownie: dziewiętnaście funtów, sześnaście szylingów, 6d./ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Obywatelskiej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,622.12.2 /słownie: trzy tysiące sześćset dwadzieścia dwa funty, dwanaście szylingów, 2d./, 50 milrejsów brazylijskich i 3 dolary amerykańskie.

KOMUNIKAT

Polska Szkoła Architektury, Uniwersytet w Liverpoolu, przyjmuje zgłoszenia na wszystkie lata studiów /1 — 4/ do dnia 15 września b.r. Do podań o przyjęcie, adresowanych do Dyrektora Szkoły /adres: Polish School of Architecture, 26, Abercomby Sq., Liverpool 7/, należy dołączyć: życiorys, odpisy posiadanych dokumentów osobistych, świadectwo dojrzałości /matury/ i ew. odpis dokumentów z odbytych studiów na Politechnikach. Osoby wojskowe winny wnieść drogą służbową podanie o urlopowanie, względnie odkomenderowanie na studia. Dla kobiet ubiegających się o przyjęcie do Polskiej Szkoły Architektury, obowiązuje uprzednie zezwolenie *Ministry of Labour*. Zezwolenie takie można uzyskać przy pomocy Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, adres: Buckingham Palace Mansions, Buckingham Palace Rd., London, S.W.1.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

PAŃSTWA BUFOROWE I "LEBENSBAUCH" . . .

PRZYCZYNY

—Ciekawy jestem co Goebbels teraz wykombinuje, ażeby usprawiedliwić swój odwrót. Dawniej Niemcom przeszkadzał mróz, później śnieg, następnie błoto . . .

—Obecnie wszystko zwalą na kurz — wyrywają aż się kurzy! . . .

ROZMOWY W EDINBURGU

—Pan uciekł z Londynu przed bombami?

—Ależ nic podobnego, tylko nikt mnie tak dobrze w Londynie nie ostrzyże, jak mój dawny fryzjer na George Street! . . .

POCIECHA . . .

Mussolini przybiega po zamachu do Hitlera:

—Mój drogi Adolfie, stanowczo musisz się ubezpieczyć na życie!!!

—Czy to się opłaca?

—W każdym razie — nawet na tydzień . . .

W DRODZE NA KONTYNENT . . .

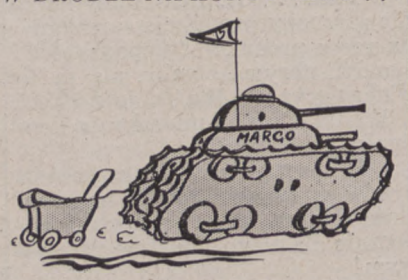

z "przyczepką" . . .

OSTATNIA LINIA "GOTYCKA" WE WŁOSZECH . . .

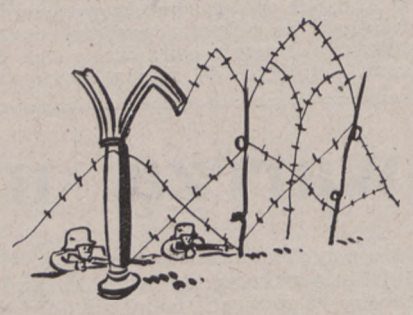

NA NOWE ZMIENIONE WYDANIE "MEIN KAMPF"

W megalomanię może wpędzić fach zecera.

Pomyślcie: wciąż poprawiać samego Hitlera!

EMIGRACYJNE TROSKI

—Wie pan, te nasze władze na emigracji, to straszne. Napisałem podanie z prośbą o zapomogę, że nie mam nawet grosza na zapłacenie mieszkania i wie pan co mi przysłali?!

—No, no!?

—Zamiast gotówki, zapłacony rachunek za mieszkanie . . .

RZECZY CIEKAWE, ZABAWNE I POŻYTECZNE

Czy wiecie,
że w Nowej Zelandii każdy człowiek otrzymuje za darmo lekarstwa w aptekach, za wyjątkiem serum, szczepionek i anty-toksyn; płaci za to rząd,
że największy odsetek witaminy C znajduje się w pomidorach, cytrynach, pomarańczach, głogu, i czarnych porzeczkach,
że pierwsze bomby zapalające zostały rzucone z powietrza przez Austriaków na Wenecję, podczas oblężenia w 1849 r.; rzucono je z balonów, jednak wiatr zwiał je z powrotem na obóz austriacki.
że słowo "sierżant" pochodzi od łacińskiego "*servant*" t.j. ten, który służy, że słowo "szrapnel" pochodzi od nazwiska wynalazcy p. Shrapnel, podobnie jak Zepelin, Browning, etc.,
że najwyższą rangą w armii Stanów Zjednoczonych jest generał — "*General*" — wyższą nawet od "*Field-Marshal*". /d/

"*Daily Mail*" obliczył koszt zabicia jednego żołnierza w rozmaitych wiekach.

Za czasów Cezara kosztowało to	£	3.6
Podczas wojen napoleońskich	£	750.0.0
Podczas amerykańskiej wojny o niepodległość	£	1.250.0.0
Podczas pierwszej wojny światowej	£	5.250.0.0
Podczas obecnej wojny	£	12.500.0.0

/d/

Ktoś wymalował następujący napis pod pomnikiem Bismarcka w Berlinie:

'Komm herunter, Eiserner Reiter, Der Gefreite weiss nicht weiter".
/d/

W Mulhouse słynna Rue du Sauvage /Ulica barbarzyńcy/ została przezwana Adolf Hitler Strasse.
/d/

DEKOWIEC

—Panie kapitanie, to nie jest w porządku. Mam wadę serca, miesień sercowy nadwyrężony, zajęte szczyty, wodę w boku, piasek w nerkach, zanik wątroby, sklerozę, początki reumatyzmu, wstrząs mózgu, astmę, żylaki i lekarz nie powiada ani "a" ani "b".

—Więc co powiedział?

—"C" — zdolny do linii!

W PRZECHOWALNI P.C.K. W EDYNBURGU

—Chciałbym dać na przechowanie moje rzeczy . . .

—Karabin???

—No przecież w piechocie służę a nie w artylerii! . . .

Tekst i rysunki: TONY

JÓZEF GAPA ur. w r. 1910 poszukiwany przez brata. Wiadomości proszę kierować do Redakcji "Polski Walczącej".

SPIS RZECZY:

Zygmunt Nagórski, jr.: Bitwy o Wilno i Lwów. — *Zbigniew Grabowski:* Szkic sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — *Julian Ginsbert:* Wojna na morzu. — Z walczącej Warszawy /*Żołnierz Armii Krajowej:* Do ostatniego naboju. *Edwin:* Koniec "kata Warszawy". *Jan Nowak:* "Zmarłym nieoczekiwanie . . ." *Świadek:* Wyrok na Brauna/. — *Stefan Gazel:* Czterdziesta podróż. — *Konny Artylerzysta:* Trzeci sierpnia. — *Władysław Choma:* Z Pescary ku Anconie /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — *Witold A. Urbanowicz:* Lotnictwo amerykańskie w Chinach. — *Wiktor Budzyński:* Bez blackoutu. — *Karol Zbyszewski:* "Ślepograty" warczą nad Londynem. — Dla Polaków w Rosji. — Na "paczki od serca". — Zbiórka książek. — *Tony:* Werinajsek. — Fotografie. — Rysunek *Mariana Walentynowicza.*

KOMUNIKAT

Ośrodka Kształcenia Handlowego w Glasgowie

Z uwagi na wypadki nieścisłej i mylnej interpretacji uprawnień, wynikających z ukończenia szkół średnich zawodowych, a w szczególności Państwowego Liceum Handlowego w Glasgowie, podaję do wiadomości odnośne przepisy.

Świadectwo ukończenia szkoły zawodowej typu licealnego uprawnia:

1. Na podstawie art. 52 Ustawy z dnia 11 marca 1932 r. "O ustroju szkolnictwa" oraz okólnika Ministra W.R. i O.P. z dnia 2 marca 1937 r. do wstępu do szkoły wyższej pokrewnego rodzaju /studia handlowe i ekonomiczne/ bez egzaminu oraz do innych szkół wyższych po zdaniu odpowiednich egzaminów uzupełniających.

2. Na podstawie art. 51 Ustawy z dnia 23 maja 1924 r. "O powszechnym obowiązku wojskowym" w brzmieniu nadanym jej obwieszczeniem Ministra Spraw Wojskowych z dnia 12 lipca 1933 r. w sprawie ogłoszenia jednolitego tekstu tej ustawy /Dz. Ust. R.P. Nr. 60 poz. 455/, — do odbycia skróconej służby wojskowej.

3. Na podstawie §2 Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 2 listopada 1929 r. "O zakładach naukowych i egzaminach szkolnych, wystarczających do osiągnięcia stanowiska urzędniczego w państwowej służbie cywilnej" /Dz. Ust. R.P. Nr. 88 poz. 663/, w brzmieniu nadanym mu Rozporządzeniem Rady Ministrów z dnia 17 października 1932 r. w sprawie zmiany tego Rozporządzenia /Dz. Ust. R.P. Nr. 92 poz. 791/ — do zajmowania w państwowej służbie cywilnej stanowiska II kat.

Z przytoczonych przepisów wynika, że absolwenci szkół średnich zawodowych korzystają z uprawnień równorzędnych z uprawnieniami absolwentów szkół średnich ogólnokształcących.

Mgr. I. Zieliński
Dyrektor
Ośrodka Kształcenia Handlowego

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

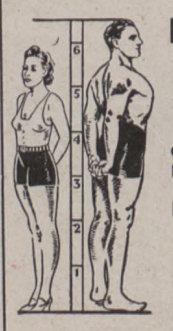

BE TALLER!
INCHES PUT YOU MILES AHEAD!
Increased my own height to 6ft. 3¾ins.
CLIENTS GAIN 1 to 6 inches
No Appliances—No Tablets—No Dieting
Ross System Never Fails
Fee £2 2s. Complete
Details 6d. stamp
MALCOLM R. ROSS
Height Specialist
BM/Hyte, London, W.C.1